№ 63. Wtorek, dnia 14 Grudnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 2 (14) Grudnia 1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 6 kop. —; miesięcznie kop. 50.
„ „ na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 8; —
„ „ kwartalnie rs. 2.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351. (nowy 11).

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ
W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz Numer 62).

— Ha! stało się, powiedział do siebie półgłosem, splótł ręce i zamyślił się boleśnie, a potem dalej mówił z goryczą:

— Nie dla mnie szczęście rodzinne, zgruchotałem je sam niebaczny, biorąc na żonę taką kobietę, co zwichnięta próżnością, nie dorosła do szczytu swego powołania.

Było to w drugiej połowie stycznia. Zima w tym roku była dosyć śnieżna i mroźna i właśnie od dni kilku mróz tęgi trzymał, a chociaż słońce jasno już świeciło, słabe jeszcze po świeżem przesileniu, nie mogło dać ciepła, więc mróz broił sobie swobodnie i wciskał się w każdy zakątek, a ludzi i zwierzęta szronem okrywał. Wszystko co żyło, raźniej się ruszało; konie prowadzone od wodopoju, chociaż przykryte ciepłemi dekami, wyrywać się chciały i z trudnością dawały się do staj ni doprowadzić, tak im było pilno pohulać; nawet woły robocze tak systematycznie wolnym postępujące krokiem, tą razą wszakże przyciśnięte zimnem, przyspieszonym stępem wracały do stajni; domowe ptastwo czynnie się uwijało koło stodoł, grzebiąc się pomiędzy wymłóconą słomą, a wróbel leniuch z natury, lecz za to nieodstępny towarzysz naszej strzechy, dzielący z nami zarówno złe jak i dobre czasy, chociaż napuszony i widocznie nie w humorze, raźnie jednak skakał po ścieżkach około śpichlerza i starannie zbierał ziarnka pszenicy i owsa.

Dzisiaj wszakże pod wieczór wiatr się zmienił i napędził obłoki, za które skryło się zachodzące słońce, mróz się zmniejszył cokolwiek, śnieg przestał skrzypieć pod nogami a wrony na nocleg już nie na wierzchołkach drzew ale wśród gałęzi siadały i wszystko zapowiadało zmianę temperatury. Zmrok zapadał; w Starym-dworze, w obszernym pokoju, na wygodnym fotelu siedziała pani Zadorowa a znać w błogim spokoju dożywała resztek życia, bo chociaż włos co okalał łagodne jej rysy znacznie pobielał, twarz i postawa były jeszcze rzeźwe, swobody i spokoju pełne, obrócona była w stronę przyległego salonu zkąd brzmiała muzyka fortepianu harmonijnym akordem dziarskiego mazura. Pani Zadorowa z uśmiechem zadowolnienia patrzyła w tamtą stronę, bo tam tańcowały jej wnuczęta, a było ich czworo. Jedenastoletni Kazio zręcznie w takt wycinał hołubce, prowadząc za rączkę siedmioletnią Zosię i komenderował młodszą parą, której tancerka choć dopiero piąty roczek liczyła, przebierała jak mogła drobnemi nóżkami, usiłując naśladować starszą siostrzyczkę. Dzieci tańcowały zawzięcie, coraz hałaśliwiej, a tymczasem do pokoju w którym siedziała pani Zadorowa wniesiono światło, i jednym rzutem oka można było widzieć z całego urządzenia, że to było ulubione miejsce posiedzenia całej rodziny. Na wsi, gdzie są mieszkania obszerne, zwykle w każdym domu jest jeden pokój uprzywilejowany, gdzie, mianowicie w zimie, skupia się życie codzienne domowych; tamto najchętniej zbierają się razem wszyscy, tam gawędka najlepiej idzie, tam wieczorne posiedzenia, a każdy tam ma jakiś swój kątek ulubiony, gdzie mu jakoś najsłaniej i najwygodniej wolną chwilę spędzić przychodzi.

Otóż tutaj znać skupiało się codzienne życie Zadorów, a tak tu było zacisznie i miło, że aż na sercu i myśli jakoś weselej i rozkoszniej się robiło; wszystkie sprzęty tak były ustawione, jakby wzywały domowników, by zbliżyli się do siebie i pogawędzili od serca. Więc w dwóch kątach pokoju stały niskie kanapki ostawione dokoła wygodnemi krzesłami, na stolikach przed niemi leżało mnóstwo książek i pism peryodycznych, pełno książek dziecinnych z obrazkami i bez obrazków a wszystkie pouczającej treści; w głębi kominek a przy nim cztery fotele, znać tu najmilej szła pogawędka; w innym zaś rogu pokoju stała sofka i zgrabny stolik rozsuwany, tam zwykle pijano wieczorną herbatę. I teraz wszedł stary Józef, lokaj co jeszcze Janusza do szkół woził, wniósł tacę ze szklankami i zaczął przygotowywać do podwieczorku, przyniósł drzewa, rozniecił ogień na kominie i pokój stopniowo coraz więcej nabierał światła i życia.

W salonie ucichł fortepian i wyszła ztąd Anna, zawsze jeszcze przystojna i powabna, ale jakoś inaczej jak dawniej; postawa jej wprawdzie straciła dziewiczą powiewność, lecz za to nabrała łagodnej powagi dziwnie nakazującej; w jasnem, rozumnem oku widniała niezmącona pogoda duszy, a serdeczne uczucia, które znać były treścią jej życia, odbijały się wyraźnie w zawsze pięknych rysach, opromieniając je jakąś jasnością niezwykłą.

Ubrana była skromnie ale z pewnem staraniem; ciemna suknia z takiego samego materyału jak były sukienki jej córeczek, dobrze ubierałajej kształtną i dosyć mężną figurę, śnieżnej białości kołnierzyk i rękawki podnosiły ciemną barwę sukni i białość świeżej jeszcze płci, a w całym stroju Anny widać było tę najwdzięczniejszą elegancyą kobiety, co to ubierze się starannie a w chwilę potem zapomni o tem. Lekkim lecz poważnym krokiem zbliżyła się do matki męża i z serdecznem przymileniem nachylając się ku niej powiedziała:

— Takeśmy tu nahałasowali z dziećmi, a mama możeby zadrzemała sobie trochę, korzystając z szarej godziny?

— Nie, moje dziecko, odpowiedziała pani Zadorowa, nie spałabym wcale, a z przyjemnością patrzyłam na swawolne pląsy tych urwisów. I mówiąc to pocałowała synowę w czoło; dzieci tymczasem przypadły do babuni i otoczyły ją szczebiocząc, a ona każde z nich popieściła i przytuliła, jak to zwyczajnie babunia. Anna poszła do stołu gdzie było zastawione do herbaty, i zajęła się sama ostatecznie przygotowaniem tego co było potrzeba. Otworzyły się drzwi i stanął w progu Janusz, już dojrzały mężczyzna; i na jego rysach odbijała się taż pogoda umysłu i te uczucia serdeczne, któremi jaśniały rysy An-

ny; zmężniał a może nawet wypięknia jeszcze, bo postawa jego wyrażała męzkość i hart, jakich za młodzieńczych lat swoich nie miał; znać że mu one przybyły przez życie czynu pełne. Po wieczornem obejściu całego gospodarstwa i krótkiéj naradzie z officyalistami co do jutrzejszej roboty, Janusz swobodny i wesół wchodził do pokoju, ażeby resztę dnia przepędzić z rodziną. Kroki jego jeszcze za drzwiami usłyszała żona, a na widok wchodzącego uśmiechnęła się i widocznem było, że teraz dopiero prawdziwie jéj się dobrze i wesoło zrobiło. Na łoskot otwierających się drzwi któreś z dzieci odwróciło główkę i wykrzyknęło: ojciec! i wszystkie, jak stadko ptasząt, razem się porwały, poleciały na jego spotkanie i obległy go koło progu, tak że ruszyć się nie mógł zanim każdego z nich nie pocałował, a one mu się koleją na szyi wieszały. Podszedł do stołu i uścisnąwszy mimochodem żonę, zwrócił swe kroki do matki, która także na jego spotkanie powstała i tulić go w objęciu zaczęła, a on tak się z nią pieścił jak mały Staś przed chwilą; i piękny był widok jak ten dojrzały mężczyzna garnął się do macierzyńskiéj piersi. Janusz poprowadził matkę do stołu, przy którym zajęła najwygodniejsze miejsce, a Anna podała jéj herbatę w uprzywilejowanéj filiżance, z któréj pani Zadorowa pić lubiła, i troskliwie przysunęła do niéj wszystko co tylko mogło jéj być potrzebnem.

A tymczasem towarzystwo zwiększyło się jeszcze jedną osobą; wszedł p. Wacław, nauczyciel Januszowych synów, bo dziewczątka pozostawały dotąd pod wyłącznem kierownictwem matki. Pan Wacław był to człowiek nie bardzo już młody i nie bardzo piękny, ale z rozumnem wejrzeniem i przyjemną a szlachetną powierzchownością. Na jego czole pooranem zmarszczkami, widne były ślady, że już niejedną ciężką troskę i gorzką chwilę w życiu swem przebył, ale dziś dobrze i spokojnie mu było w tym domu. Januszowie nie wymagali od niego nic więcéj oprócz nauki dla dzieci, sobie pozostawiając ich kierunek i pieczę nad niemi; więc po skończonych lekcyach, z którémi nie miał wiele mozołu, bo chłopcy z młodych lat ujęci w karby porządku a wcześnie rozwinięci umysłem w lot chwytali naukę, pan Wacław mając czas zupełnie swobodny, powracał do swego ulubionego literackiego zajęcia, a chłopcy przechodzili pod oko rodziców, którzy już sami nad niemi czuwali. Zwykle w dnie pogodne, czy to zimą czy to latem, dzieci towarzyszyły ojcu w jego obchodzie około gospodarstwa, a chociaż zdawało się, że w czasie téj przechadzki głównie zajęte były swawolą, to goniąc się nawzajem i biegając naokoło ojca, to w zimie ślizgając się po zamarzniętych rowkach, lub około stodół zsuwając się ze stosów słomy i zagrzebując się w nie tak, że tylko rumiane twarzyczki z niéj świeciły; wszakże tym sposobem nieznacznie oznajmiały się z praktycznem życiem a wszystko co widziały na około siebie nie było im już obcem. Czasem któreś przystanęło i przysłuchało się ojca rozporządzeniom i kombinacyom gospodarskim i tak powoli wcielały się w życie domowe. Janusz sam wprawiał synów do męzkiéj zabawy, więc uczył ich jeździć konno i strzelać a chłopcy z każdym dniem dzielnieli i nabierali siły i hartu.

Całe towarzystwo zasiadło do herbaty, przy któréj były jeszcze różne inne dodatki, nie kupne, nie sprowadzane z poza granic kraju, ale w domu pod okiem gospodyni przyrządzone, a wszystko ustawione i urządzone w sposób tak apetyczny, że aż chętka brała skosztować. Anna nie miała zwyczaju spuszczać się całkowicie na sługi i każdą zastawę zwykła była objąć jeszcze własnem okiem i sama nadać wszystkiemu jakąś cechę gustu i piękna. Przy herbacie rozmawiano o rozmaitych rzeczach, a do rozmowy treści nie brakło, jak zwykle tam gdzie rozmawiających wiąże z sobą stosunek szczery i ciepły.

— A co się tam dzieje na dworze? zapytał wchodzącego sługi.

— Mróz zelżał zupełnie i gęsty śnieg padać zaczął.

— Ah! gdyby przestał przed północą, byłaby ponowa na jutro! Ot wiesz co panie Wacławie, mówił pan Janusz, jeżeli będzie dobre pole, to zawieś jutro na kołku swoje nauczycielskie dystynktoryum i odpraw malców do matki a sam weź dwururkę na plecy i pojedziemy na polowanie.

— I owszem, zrobiłbym to z ochotą, bo taka rozrywka zawsze mi i na myśl i na zdrowie służy, ale mi przykro że pani Januszowa trudzić się za mnie będzie.

— O! niechże się pan tem wcale nie krępuje, odpowiedziała Anna, zapewniam go że mi to nie zrobi najmniejszej przykrości a rada będę bardzo gdy panowie sobie tę rozrywkę zrobicie. Z żalem uważam, że Janusz rzadziéj teraz na polowanie wyjeżdża, on z każdéj takiéj wycieczki i zdrowszy i rzeźwiejszy powraca.

Janusz ścisnął żonę za rękę, i patrząc na nią z wyrazem głębokiéj miłości, powiedział:

— Aneczka moja droga! jéj zawsze głównie o to chodzi ażeby mnie było dobrze i przyjemnie! I oboje spojrzeli na siebie tak, jakby nie dwanaście lat ale zaledwie dwanaście dni byli po ślubie.

— Więc powiedz tam Józefie, dysponował Janusz po chwili, niech jutro rano gończych nie wiele karmią, a w stajni na godzinę siódmą niech przygotują konie do sani myśliwskich.

Józef wyszedł przekazać dyspozycyę a po chwili wrócił niosąc tylko co z poczty przywiezione gazety i sporéj objętości list do pana Wacława. Herbatę skończono, p. Wacław poszedł do siebie by list przeczytać, Janusz zaczął przeglądać świeżą gazetę a Anna usiadła na fotelu przy kominku; tego jak hasła czekały dzieci i opadły ją w około całując i pieszcząc.

— Mateczko droga, poprosił Kazio, powiedz nam cokolwiek.

— Cóż wam powiedzieć, dziatki moje?

— Cokolwiek z historyi, ja tak lubię słuchać jak mama opowiada.

— Z historyi! z historyi! zawołały wszystkie

Anna miała zwyczaj często zajmować dzieci jakiemś opowiadaniem, a mając zawsze na względzie główny cel, by wpoić im wcześnie pewne zasady i myśl rozwinąć, najczęściéj szukała odpowiedniego do tego przedmiotu w przeszłości, snując przed młodzieńczą ich myślą obrazy świętych cnót i wielkich czynów, i teraz więc nie kazała się długo prosić. Kaz-

U OGNISKA.

XI.

Śnieg białą oponą rozesłał się na polach i na ulicach naszego miasta. Cały szereg silnych mrozów utrwalił go i wyśmienita sanna sprzyja szlichtadom. To też między drugą a piątą — obecnie ostatniemi godzinami białego dnia, — suną po N. Świecie zbytkowne sanie zdobne w drogie futra, w bogate materye lub w cenne aksamity i sukna, powożone przez stangretów, których twarze giną pod niedźwiedziemi czapkami i wśród niedźwiedzich olbrzymich kołnierzy, z wyprostowanemi sztywnie lokajami trzymającemi się z tyłu sanek za srebrzone lub złocone antaby, unoszone szybko dzielnemi rassowemi rumakami. Konie rwą z całéj mocy, i ten zimowy ekwipaż, — jak zręczny łyżwiarz na lodowéj tafli lub marzenie senne prześliznąwszy się żwawo przed oczyma przechodniów, znika w Aleach lub Łazienkach Królewskich gdzie może iść w zawody to z kilku, to z kilkunastu innemi, sobie podobnemi. Nad powracającemi późno, — szary, ołowiany, brudny zmrok zimowy zapada; drobny śnieżek prusząc dość często zasłania je; w migotaniu mdłych światełek, wiecznem zaćmieniem grożących, naszych latarni gazowych... topnieją, rozpływają się jak sny lub widziadła; zmięszane w chaotyczną całość z przeróżnemi dorożkarskiemi i handlowemi wehikułami, niczem nie odróżniając się od nich, i w pomroce... giną w pałacowych bramach, jak meteory spadające w jakiś jar lub przepaść czarną.

Z każdym zbytkiem bywa tak zawsze. Wybłyska on, lśni i zadziwia chwilę... potem niknie nie pozostawiając po sobie tego estetycznego śladu, jaki po czemś moralnem i wyższem zostaje. Zlewa się on przy zmateryalizowaniu i zepsuciu społeczeństwa w jakąś pełną jaskrawości tandetę, gdzie więcej i mniej bogate, więcej i mniej gustowne przepychy, niby strój arlekina, łatami tylko się przyozdabia i różnowzorej rozrzutności toruje drogę do tego co nazywamy *użyciem*. Użycie zaś jest jak ów kielich pieniącego się szampana. Zda się że życie zeń tryska, że w szumiącym napoju słońce łamie złota i dyamentów pełne promienie, że porwie on i zapali i rozgrzeje... tymczasem, na dnie jego w przesycie znajduje się tylko rozczarowanie i zawrót głowy. Ztąd też, pomimo że gorąco pragniemy materyalnego rozwoju i gorączkowéj pracy zdwajającej zarobek i dobrobyt, lękamy się zawsze aby myśl „jedyna“ tylko o tym zarobku i o dobrobycie nie owładnęła zbyt mocno wszystkich sił żywotnych społeczeństwa aby przy niej pozostało jeszcze dość miejsce na pragnienia i zachcenia szlachetniejsza

de z dzieci obrało sobie wygodne miejsce do słuchania; najmłodsza Helcia bez ceremonii wszrubowała się na kolana matki, Brońcia i Kazio przystawili krzesełka i usiedli bliziutko koło niéj, a Staś przyniósł sobie podnóżek i usiadł na nim, a oparłszy się o kolana matki, jasne oczki ciekawie w nią wlepił i widać było że myśli bardzo uważnie słuchać. Anna popatrzyła na swoje pieszczotki i tak zaczęła.

(C. d. n.)

Z PODRÓŻY PO SERBII.

VI.

Okoliczność, że majątki chłopskie rozrzucone są na wielkiej przestrzeni, rzadkie zaludnienie, oraz ogromna, czasem na mile całe licząca się odległość pomiędzy jednym domem a drugim, wielce utrudniają rozwój ściślejszego związku gminnego, stosunków szkolnych i t. p. To też w niektórych miejscowościach rząd widział się zmuszonym wystąpić z incyatywą w tym względzie, przymusowo wywołując powstanie wsi zamkniętych niejako, przez rozporządzenie, że wszyscy właściciele nieruchomości w danéj okolicy obowiązani są wznieść domki w pobliżu karczmy i szkoły, w których to domkach w niedzielę przynajmniéj przebywać muszą, dla wysłuchania postanowień władzy lub naradzenia się nad sprawami gminnemi. W szkołach rzadko kiedy bywa więcej nad trzydziestu uczniów, wyłącznie chłopców. Interesującym dla mnie był fakt, że w tych szkołach męzkich, często są nauczycielami bardzo młode kobiety, i to z dobrym skutkiem. Nauczycielki te kształcą się i składają egzamin w Belgradzie i w razie potrzeby z korzyścią wypełniają brak nauczycieli wiejskich.

Kiedy się jako gość wstępuje do domu włościańskiego, niebawem schodzą się sąsiedzi, zwłaszcza, gdy uprzedzeni są o odwiedzinach; zazwyczaj znajduje się tam dosyć liczne towarzystwo, złożone z pietnastu do dwudziestu osób, które z uwagą śledzą każdy ruch, każde słowo gościa. Obowiązkiem najmłodszéj kobiety w domu jest usługiwać gościom; zjawia się ona natychmiast, częstując przybyłego narodowem *slatko*, to jest podając tacę, na któréj zastawione są: naczynia szklanne zawierające smażone w cukrze lub miodzie liście różane, wiśnie, melony lub t. p., szklanka wody, kieliszek wódki śliwowicy, a drugi wina. Gość łyżeczką od kawy bierze trochę tych owoców słodkich, popija łykiem wody i wódki lub wina, stosownie do wyboru, poczem taca z tą samą łyżeczką i temi samemi szklankami podaną zostaje sąsiadowi. Za pierwszą gospodynią postępuje druga, kobieta młoda także, trzymając dzban wódki i wina i dolewając kieliszki, w miarę jak się wypróżniają. W miastach *slatko* składa się z marynowanych skórek pomarańczowych i cytrynowych, orzechów, melonów i kremów—i przyznać muszę, że mi to słodkie przywitanie, jakkolwiek powtarzało się kilka razy na dzień, zawsze bardzo było przyjemnem, tem bardziéj, że w lepszéj klasie dają dla każdego gościa oddzielne szklanki i łyżeczki. Bezpośrednio po slatko, jako i po każdem jedzeniu, podają filiżaneczkę dobréj kawy, na sposób turecki przyrządzonéj. Serb o każdéj porze dnia chętnie pije kawę; w biurach nawet, zaledwie kwadrans się posiedzi, częstują kawą.

O godzinie 12 w południe i o óśméj wieczorem Serb regularnie jada obficie, zapijając winem i śliwowicą, przez resztę dnia pożywienie jego stanowi kawa i slatko. W ogólności powiedzieć mogę, że Serbowie w życiu są bardzo umiarkowani. Obiady składały się zawsze z bardzo posilnego rosołu mięsnego, zakwaszonego octem lub sokiem cytrynowym, mocno zaprawnego papryką (tureckim pieprzem), zwanego kissela czorba i z baraniny gotowanéj, pieczonéj, lub siekanéj. Przy każdem nakryciu leżały w znacznéj ilości cebule surowe i czosnek, z wielkim smakiem maczane w soli i pieprzu tureckim i pomiędzy jednem a drugiem daniem spożywane. Oprócz tego prawie nigdy nie brak na stole bardzo łagodnego, młodego sera owczego i tak zwanego kaimaku, rodzaju śmietanki tłustéj i słodkiej, zastępującego masło, zaledwie z nazwiska u Serbów znane. Zamiast baraniny, podają często młode kozy, gęsi, kaczki i t. p. Wołowiny lub cielęciny nie zobaczysz tam nawet. W końcu znajdziesz zawsze na stole miskę świeżego mleka, słodkiego albo kwaśnego, i doskonałe zazwyczaj ciastka, smażone na słoninie. Ale zachowanie się przy stole nie koniecznie jest tam przyjemne; wszyscy biesiadnicy sięgają z ogryzioną cebulą w solniczkę wspólną, wsadzają widelce i łyżki do jednéj miski mleka lub mięsa, i radzi z jednéj karafki piją wodę. W ogólności, wybierając się w głąb Serbii, trzeba stać się nieczułym na niektóre, wedle naszego widzenia rzeczy bardzo nieprzywoite zwyczaje, które jednak tam z powodu upowszechnienia ogólnego nie rażą już wcale.

Życie w miastach serbskich nie bardzo przyjemne na mnie zrobiło wrażenie. Koncentruje się ono po kawiarniach, od rana do do wieczora licznie odwiedzanych. Przy drzwiach każdéj z nich, pod cieniem oleandrów i drzewek pomarańczowych, ustawione są rzędem krzesła i stoliki, mile zapraszając do *dolce far niente*. Piją tam prawie wyłącznie kawę o każdéj porze dnia, wódkę śliwowicę (rakia), koniak (komowic), wino, a w Belgradzie i piwo. Niezmiernie rzadko się zdarza, żeby Serb zjadł cokolwiek w kawiarni, oprócz wyśmienitych obwarzanków suszonych lub migdałów w cukrze, które od stołu do stołu chłopcy roznoszą w koszach. Już o piątéj lub szóstéj rano kawiarnie się ożywiają, a duchowny miejscowy należy zazwyczaj do najpierwszych gości. Znudzenie, ociężałość i niedołęztwo—oto cechy charakterystyczne, jakie uderzają każdego cudzoziemca na widok tutejszego towarzystwa kawiarnianego, a wrażenie to podnosi jeszcze bezmyślne, nieustanne zwijanie papierosów, które Serbowie palą namiętnie. W Belgradzie dostać można wybornego, aromatycznego i nadzwyczaj drobno pociętego tytoniu tureckiego, który nosi się przy sobie w małéj tabakierce i odświeża codzien-

---

i wznioślejsze, abyśmy krzepiąc ciało nie marnowali zasobów ducha.

Faktem jest, że w społeczeństwie naszem praca w materyalnym kierunku rozwijać się poczynająca, w rezultatach swoich, bacząc na czas i środki dość pomyślna, w massach przeróżnych pracowników, wyrodziła jakąś obojętność na wszystko co nie jest widoczną korzyścią. Po za kręgiem potrzeb realnych, najbliższych, powszednich—nie widzimy jasno żadnego celu. Aby zostać bogatym, w tem cały rozum i sztuka. A kiedy z walki o byt wyjdziemy zwycięzko, kiedy możemy sobie powiedzieć że tym lub owym środkiem podwoiliśmy rzeczoną produkcyjność, że z odznaczeniem uprawialiśmy pewną gałąź przemysłu, że z handlu lub interesów finansowych wynieśliśmy pewien zysk, już uważamy się za *wielkich*, już nam wszystko co duchowem jest wydaje się ideologią... i syci starań, pracy i zabiegów zaczynamy używać. Notabene i dawniej słabsi,—co *najsilniejszemi* nazywać się sami zwykli,—*egoiści* jednem słowem, miewali takie zachcianki. Ogół jednak potępiał ich, szydził z nich, palcem wytykał, a satyra chłostała po ich wyniosłych grzbietach bicem swoim, ostro i odważnie. Dziś tego niema;—satyra gromi marzycieli, prześladuje i pastwi się nad niemi; panom, milionerom, monarchom finansowych zdobyczy pali kadzidła i uniża się przed nimi we dwoje zgięta. Powodzenie okupuje wszystko i wszystko usprawiedliwia. A społeczeństwo sycone przykładem i smutnemi teoryami idzie owczym, bezmyślnym pędem za przodownikami.

Więc pracuje aby zarobić, — zarabia aby użyć.

Jak się to jednak skończy, jeśli tak dalej pójdzie, smutno przewidywać. Stare zdanie *après nous le déluge*, jest nader często fałszem w bieżącéj epoce. Fala potopu tak nieraz szybko i gwałtownie wzbiera, że jeszcze jesteśmy przy życiu, kiedy nas zalewa. Dosyć przypomnieć sobie Francyę, pogrążoną w zmateryalizowaniu, która w chwili kiedy kolos jej realnéj potęgi czołem niebios sięgać zdawał się, runęła tak strasznie i sromotnie. Dla nas nie artylerya, nie wyćwiczone i bitne wojsko pruskie, nie talent Moltkiego, nie geniusz Bismarcka... ale Francya sama siebie zamordowała i zwyciężyła, bo duch jej upadł i nie miał dość sił do dźwignięcia potężnego, użyciem i zmateryalizowaniem zniszczonego ciała. Potop, odkładany jako spuścizna dla przyszłych pokoleń, zalał dzisiejsze, a Bóg nie wybrał dotąd w zamęcie ani jednego Noego, któryby mógł mieć nadzieję że odnowi, odżywi przebudzi, wzruszy tych co się dotąd grzebią w kale pozostawionym przez ustępujące wody. My pod ożywczem ciepłem do-

nie, żeby posiadał wilgoć odpowiednią do łatwego zwijania. Jest tam także fabryka cygar quasi hawańskich, wyrabianych przez Niemca Appela, z tytoniu serbskiego i liści tureckich. Serb nie wie prawie co to jest fajka; wszyscy, nawet chłopi i parobcy palą papierosy; a choćby ręce jaknajgrubszą robotą były zajęte, papierosy umieją zwijać z dokładnością i elegancyą. Owo wczesne odwiedzanie kawiarni zastanowiło mię. U nas z rana przynajmniej omija się lokale publiczne i myśli o pracy obowiązkowéj, lekturze poważnéj lub czemś podobnem; w miastach serbskich przeciwnie—mężczyźni po większej części zaledwie wstawszy, dążą wprost do kawiarni. O szóstéj godzinie zastać tam już można nauczycieli i dyrektorów wyższych zakładów naukowych, urzędników i kupców, którzy wszyscy rozpoczynają zajęcia swoje około ósméj lub dziewiątej przed południem.

Przypuściwszy nawet, że łagodny klimat południowy i prześliczne powietrze zachęcają do tego rodzaju rannych wycieczek, zwłaszcza, że mieszkania istotnie są nizkie i ciasne; przypuściwszy że rozmowy w kawiarniach zawsze pełne są nauki i dowcipu, trudno jednak zgodzić się na to, aby po takiej dwugodzinnéj gawędce o tem i o owem, można jeszcze było zachować cały spokój umysłowy, potrzebny do poważnéj pracy intellektualnéj. Całe towarzystwo widać ma tam bardzo mało do roboty i uważa pracę za złe konieczne, które, o ile można prędko i tanio zbyć należy. Szczerego zajęcia się pracą i zamiłowania zawodu w ogóle napotykałem bardzo mało. Mówiono mi, że po kawiarniach dużo załatwia się interesów, każden zewsząd zbiera wiadomości i stara się spożytkować je, jak można najkorzystniej.

Literatura peryodyczna bardzo słabo tam jest reprezentowaną. W Belgradzie istnieją dwa pisma wydawane w języku serbskim: jedno codzienne polityczne, a drugie tygodniowe, dla ludności wiejskiéj przeznaczone, z lichemi illustracyami, noszące tytuł: „Rolnik“ — i nic więcéj. Dzienników niemieckich ani francuzkich nigdzie niema, a oprócz tego, ku pierwszym, jak i w ogóle ku wszystkiemu co niemieckie, panuje tam wstręt nieprzezwyciężony.

Muzyka w Serbii na bardzo nizkim stoi stopniu. Pomimo ciągłego szukania i dopytywania się, udało mi się w stołecznem mieście Belgradzie, zaledwie jeden nieodstrojony wynaleźć fortepian, a i ten znajdował się w mieszkaniu prywatnem pewnego restauratora. Żaden z zakładów publicznych nie posiada fortepianu. W całem też mieście Waljewie nie ma ani jednego. Za to widziałem w bardzo zamożnych domach w Belgradzie, których pani nosiła na czapeczce (fez) swojej dwa razy tyle w perłach i dukatach, ile może kosztować najlepszy fortepian—widziałem, powiadam, instrumenta stare, rozstrojone i do żadnego użytku niezdatne. Oprócz dobréj orkiestry teatralnéj i dobréj również kapeli wojskowéj, która raz na tydzień daje koncert — nie słychać w Serbii żadnéj innéj muzyki, prócz cygańskiéj. Ale co to za muzyka nie znośna!

Sława muzykalna cyganów jest wcale niezasłużona; nie można im wprawdzie odmówić pewnego ognia w wykonaniu, pewnego dosadnego wyrazu w rytmach, ale nie mają żadnego poczucia harmonii, melodyi, lub tonów szlachetnych. Przez całe pół godziny napróżno starałem się nauczyć pewnego prześlicznego chłopca cygańskiego początkowych taktów czarującéj pieśni Cerliny „*Vedrai carino, se sei buonino*“ i t. d. Z miną uśmiechniętą i cierpliwością nadzwyczajną usiłował kilka razy zagrać na skrzypcach te dźwięki proste,—lecz zawsze nadaremnie. A śpiew cygański! Straszne te i przeraźliwe tony, wychodzące z gardła przesiąkłego wódką, rodzierają formalnie ucho wykształcone.

Nie wyżej jak muzyka, stoi w Serbii taniec, którego jeden tylko rodzaj tam jest znany, mianowicie tak zwany *kolo*, pod względem figur pojedyńczych bardzo do naszego mazura zbliżony.

Pomimo całéj nienawiści dla Niemców, Serbowie pod jednym względem w zupełności przyjęli ich zwyczaj — po miastach piją piwa może więcéj jeszcze niż w ojczyźnie *kulturträgerów*. W Belgradzie założono browar parowy na wielką skalę, który zaopatruje w piwo kraj cały.

ŚWIATŁO ZWIERZĘCE.

Pomiędzy cudami zwracającemi na siebie uwagę badacza przyrody, niepoślednie miejsce zajmuje grupa zjawisk, fosforescencyą zwierzęcą zwanych. Takeśmy nawykli uważać światło za nierozdzielne z ciepłem i poczytywać ogień za rzecz koniecznie do wydania jego potrzebną, że wyobraźnia nasza w wysokim stopniu podnieconą zostaje, gdy widzimy światło promieniejące z ciała żwierzęcia żywego. A jednak wiadomo powszechnie, że znaczna część bezkręgowców wydaje z siebie światło. Podróżni niejednokrotnie opisywali przepyszny widok, jaki przedstawiał się im w krajach podzwrotnikowych, gdy ujrzeli lasy lub jeziora oświecone niezliczonemi świetlanemi iskrami, a nowsze badania wykazały, że objaw ten daleko jest jeszcze powszechniejszym aniżeli dotąd mniemano.

Przy sondowaniu morza dokonanem w roku 1869 i 1870 poznano tyle zwierząt świecących, największe zamieszkujących głębie, że profesor Thomson przyszedł do przekonania, iż światło potrzebne do rozwoju siły wzroku, jaką niektóre z tych zwierząt posiadają, z tego źrzódła pochodzić musi.

W fosforescencyi zwierzęcéj, podobnie jak we wszystkich swoich dziełach, natura rozwinęła nieskończoną rozmaitość kształtów, pokazując w tem swoją potęgę. U niektórych zwierząt pewne płynne wydzieliny światło wydają; u drugich światło powstaje w skutek działania pewnego małego, skomplikowanego organu. Jedne z tych zwierząt wydają światło żółte, drugie błyszczą jasnem zielonem światłem, inne lilowem, a są i takie, których światło mieni się w ca-

---

mowego ogniska zostający, powinniśmy widzieć złe i wspólną piersią gromadki tworzącéj familię, odpychać wszystkie zepsute owoce materyalnéj pracy, podjętej dla zarobku tylko i użycia. Śmiałość, to także siła. Widząc że karnawał zakołacze wkrótce już po świętach Bożego Narodzenia do wrót zamykających adwent, nie dajmy mu się usidlić i wyprowadzić w pole; szukając rozrywki właściwéj, osobliwie dla młodych naszych czytelniczek; goniąc żwawo i po młodzieńczemu za wesołością, za tańcem, za zabawą, odpychajmy *zbytek*, produkcyę najmateryalniejszą, trującą radość i kruszącą młodzieńcze, szlachetne popędy. Miejmy odwagę nie dać mu się, a z pewnością on nam nie da rady. Co po przepychu, co po toaletach, po wytwornych i bogatych salonach, po frakach, brylantach, koronkach, atłasach! Trochę muślinu, wiele szczerości, naturalności, cnót i zalet, jakie daje dobre wychowanie, dużo serdecznéj gościnności, mało... bardzo mało plotek, obmów, szyderstwa... a karnawał powiedzie się przepysznie... i najmniej wydatkujący, najlepiej i najpewniej doskonale się zabawią.

Jak zaś to *niemądre* przyzwyczajenie do zbytku, zawraca ludziom głowy i bałamuci ich na każdym kroku, fałszując zdrowe pojęcie o rzeczach i ludziach, dowodzą nawet kupcy nasi, którzy dają się dotąd złapać na byle jakie, aby tylko błyszczące pozory.

Otóż jednego z tych ostatnich dni, kiedy zamieć sypała tumanami skrystalizowanych białych śnieżystych płatków, pewna dama, pani***, uchodząca powszechnie za osobę ubierającą się elegancko i gustownie, ale przytem bardzo rozsądną i oszczędną, przyodziawszy się skromnie i ciepło zarazem, wyszła na miasto i wstąpiła do jednego ze sklepów przy Czystej ulicy, w celu nabycia praktycznego wełnianego szala, któryby równie służyć mógł do okrycia ramion jak i do zarzucenia na głowę.

Świetny magazyn jaśniał... brakiem kupujących.

Pomimo to, przybyła, oczekiwać musiała pół godziny przynajmniej, zanim jeden z ziewających panów subiektów, czeszący przed zwierciadłem brodę i faworyty szyldkretowym grzebyczkiem, *raczył* zwrócić uwagę że to kobieta—i interesantka. Poczem, zawiązała się następująca rozmowa:

— Czego pani sobie życzy?

— Szala lub chustki wełnianéj, dużéj.

— W jakiéj cenie?

— Proszę mi pokazać na różne ceny, wybiorę ten, który mi się podobać będzie.

— Uprzedzam panią, że najtańsze jakie mamy, kosztują siedm rubli.

— Nic nie szkodzi.

Dwa puste krzesła stały obok kantoru,

ły szereg kolorów tęczy. Co do przyczyn tych zjawisk, zupełna panuje niewiadomość. Mimo znajomości wielu form życiowych, w których się własność świecenia objawia, między mężami nauki nie ma zgody na to, od czego takowa właściwie zawisła. Również nieznane są cele, do których światło to służy w ekonomice świata zwierzęcego. Zjawisko samo jest zawsze zadziwiające.

Chcąc wytłómaczyć świecenie morza, najdziwaczniejsze wymyślano teorye, aż nareszcie natrafiono na prawdziwą przyczynę. W r. 1686 ksiądz Tachard dowodził, że ocean pochłania we dnie światło słoneczne, które w nocy napowrót z siebie wydaje. Około tegoż czasu Robert Boyle usiłował zjawisko to objaśnić tarciem się wody o powietrze, przy obrocie ziemi około swéj osi. Nareszcie w r. 1749 zagadka rozwiązaną została przez odkrycie świecących zwierząt w wodzie morza Adryatyckiego, a teraz wiadomo już, że znaczna część najniższéj klassy zwierząt morskich, w mniejszym lub większym stopniu własność fosforescencyi posiada.

Przyjrzyjmy się teraz nieco bezkręgowcom klas rozmaitych i zobaczmy na nich przykłady zjawisk o których mowa. Poczynając od najprostszych kształtów życiowych, znajdujemy u protozoów i u pewnych wymoczków mały galaretowaty organ, któremu badacze przyrody nazwę *noctiluca* nadali, a którego fosforescencyą u wybrzeży wielu mórz widzieć można.

W morzu mieszkające zwierzęta promieniejące, wielką siłę światła posiadają. Gwiazdy morskie, pióra morskie i wiele innych im podobnych, mogą służyć za przykłady fosforescencyi tej klassy zwierząt promieniejących.

Podczas podróży okrętu „Porcupina“, z których prof. Thomson zdał sprawę w swoich „Głębiach morza“, poczyniono godne uwagi doświadczenia. Gdy pewnego razu zapuszczoną w morze sieć wyciągnięto późnym wieczorem, węzły jej niemal wszystkie okryte były gęsto morskiemi gwiazdami, świecącemi blaskiem zielonym. Blask ten najsilniej objawiał się u młodszych egzemplarzy. Światło nie błyszczało ciągle z jedną siłą i nie rozciągało się na całą gwiazdę. Czasami ognista linija obiegała zwierzę dokoła, a potem najsilniejsze światło koncentrowało się w środku. Następnie bladło, a silnym konturem obwiedziona plamka długości centymetra świeciła w środku jednego z promieni gwiazdy, i posuwała się zwolna ku jego kończynie, albo też kończyny wszystkich promieni zapalały się naraz i szerzyły światło ku środkowi. Bez wątpienia, w głębi morza rojącego się żarłocznemi skorupiakami z wielkiemi jasnemi oczyma, fosforescencya musi być darem złowrogim. Innym razem sieć pokryta była długiemi bladoróżowemi piórami morskiemi, wydającemi światło bladolilowe. Światło to nie migało się jak światło gwiazdy, ale trwało prawie bez przerwy, chociaż tu i owdzie niekiedy silniej błyskało a potem słabło. Zawsze jednak było do tyla jasne, że można było widzieć całe ciało zwierząt, w okach sieci tkwiących. W niektórych miejscach wszystko co wydobyto z głębi, zdało się światłem promienieć; muł nawet błyszczał świetlanemi iskrami. Niektóre gatunki zwierząt promieniejących wydawały światło tak silne, że godzinę na zegarku można było wyraźnie przy niem zobaczyć. W pobliżu Madery schwytano zwierzę galaretowate, które błyskawiczne światło z siebie rzucało.

Do najpiękniejszych zjawisk morskiej fosforescencyi należą te, które wydają mięczaki. W oceanie Atlantyckim, niedaleko równika, żyje pewien mięczak, podobny do rozpalonego do białości cylindra. Jest on mikroskopijnych rozmiarów, zbiera się jednak w niezliczone gromady, które tworzą razem rurę sześć cali szeroką a czternaście cali długą. Niekiedy tyle rur takich pływa obok siebie, że morze do lawy stopionéj podobnem się staje. Z tym objawem fosforescencyi łączy się szczególne zjawisko. Barwa światła zmienia się ciągle i przechodzi nagle z różowéj w świetnie karmazynową, w pomarańczową, zieloną, niebieską, a nareszcie w blado żółtą. Inny, silnie świecący mięczak, należy do rodziny salpidów, bardzo licznie zamieszkującéj morze Śródziemne i cieplejsze części Oceanu. I te mięczaki pływają także niezliczonemi gromadami i sprawiają wrażenie długich wstęg ognistych, czasami prostych czasami znów siłą fal poskręcanych, a nawet podwójnym pasem obok siebie się ciągnących. Na morzu Śródziemnem fosforescencya ta podobna jest do blasku księżyca, a Francuzi nazywają ją morskądrogą mleczną.

Zwierzęta stawkowate morskie rzadko posiadają własność świecenia. Pojawia ono się za to u niektórych zwierząt robakowatych, należących do klassy pierścieniowych, i u znacznéj liczby mniejszych skorupiaków. W wielu razach światło przybiera kształt żywych błysków, jak to już u wspomnianej meduzy widzieliśmy. Nie raz oczom żeglarza prawdziwie świetny przedstawia się widok, gdy się wielkie massy takich organizmów nagromadzą, i wodę, mianowicie gdy ta jest w ruchu, oświecą miryadami iskier, wielkości między główką od szpilki a ziarnkiem grochu, co chwila pojawiającemi się i znikającemi na przemiany.

Jeżeli porzucimy świat morski a zwrócimy się ku mieszkańcom lądu stałego, daleko mniej znajdziemy przykładów fosforescencyi. Z małemi wyjątkami, z pomiędzy zwierząt lądowych własność tę posiadają jedynie zwierzęta stawowate, a najwięcej posiada jej klassa owadów. Badacze przyrody liczą dwieście do trzystu obdarzonych nią tej klassy gatunków, należących po większej części do dwóch rodzin: latarników i elateridów. Zwyczajny nasz świętojański robaczek jest członkiem pierwszej z tych rodzin, a sławna mucha ognista, która u wschodnio-indyjskich piękności ma zastępować miejsce drogich kamieni, należy do drugiej. Organa z których światło wychodzi, u obudwu wielce są do siebie podobne. Rozkrajawszy tułów robaczka świętojańskiego, widzieć można tkaninę komórkowatą w kształcie dwóch małych woreczków, leżących po bokach tuż pod skórą. Komórki wypełnione są materyą, pod mikroskopem do miękkiego tłuszczu podobną. Gdy minie czas, w którym robaczek świętojański świeci, ta żółta materya znika. Mnóstwo małych powietrznych rureczek otacza i przerzyna te woreczki i kończy się większą rureczką, otworem w skórze łączącą się z zewnętrznem powietrzem. Swobodne zetknięcie z zewnętrznem powietrzem jest

---

nikt nie pomyślał prosić źle ubraną osobę aby usiadła.

— Henryk, pokaż no pani szale i chustki wełniane.

Jasny blondynek, przesadnie ubrany, w ciemno pomarańczowym krawacie, ozdobionym wspaniałą, złotą, emaliowaną szpilką, rumiany jak piwonia, ale pomimo to pełen szyku, nie spiesząc się wcale wyciągnął pakę wełnianych chustek, i rzucił ją z pewną akrobatyczną zręcznością na stół sklepowy.

Pani*** zaczęła przeglądać i wybierać.

— Uprzedzam raz jeszcze panią — wycedził właściciel brody i szyldkretowego grzebyczka; którym ciągle zarost swój pod u-stami drapał,—że to są rzeczy dość drogie, że byłoby może właściwiej udać się za Żelazną bramę. To są wysokie gatunki.

Kupująca udała że nie słyszy, wybrała szal, wytargowała go co się zowie — jakby w istocie była za Żelazną bramą — i zapłaciwszy jakieś kilka czy kilkanaście rubli, opuściła piękny sklep, niepożegnana nawet grzecznem skinieniem głowy.

Ale dni zimowe u nas, według francuzkiego przysłowia, postępują po sobie, niezwiązane nieraz żadnem podobieństwem.

Pogoda stałemi promieniami słońca zarumieniła śnieżne kryształy, rozświeciła ulice, rozmroziła szyby u okien, namawiając eleganckie panie aby się gustownie i modnie ubrały. I nasza znajoma, pani***, wziąwszy na siebie aksamitny, niebieskiemi lisami obszywany paltocik, z takimże samym zarękawkiem, wyszła przejść się, a pragnąc ze spaceru korzystać, wstąpiła po *guziczki* do tegoż samego sklepu.

Magazyn napełnionym był kupującemi. Pomimo to, skoro tylko starszy subjekt wchodzącą damę zobaczył, poskoczył z elegancyą przypominającą cokolwiek maniery z Tiwoli. Nader grzecznie i uprzejmie przysunął krzesło, prosił z nadzwyczajną uprzejmością siedzieć, począł wypytywać: czego sobie życzy, czego pragnie, czego potrzebuje? Twardy wyraz *pani* dźwięczał delikatnie *peni*, na jego... jak kołowrotek wykręcającym się... języku. Kiedy przybyła oświadczyła że pragnie guziczków do koszul, nie zawołał Henryka, ani Polikarpa, ani Symforiana, ani Hiacynta, którzy mało ze skóry nie wyskoczyli aby tylko pięknej damie... wszakże powiedzieliśmy zdaje się że była piękną... usłużyć, Sam właściciel brody przyniósł je; sam zapakował, sam zawinął, sam podał zaokrąglając rękę jak do kadryla, i ustawiając wdzięcznie

koniecznym warunkiem promieniowania światła z woreczków. Ztąd możemy sobie wytłómaczyć, dla czego światło świętojańskiego robaczka czasami nagle znika, albowiem zwierzątko to może według woli ów otwór w skórze zamykać. W zupełności atoli zaćmienia swego dokonać nie może, gdyż po za ostatniem pierścieniem tułowu, znajdują się dwa jeszcze mniejsze woreczki, żółtym tłuszczem napełnione, nad któremi ono zupełnej nie posiada kontroli. Co do tego organu, należy jeszcze jedną podziwienia godną wspomnieć okoliczność. Każda z kończyn, z których pojawia się światło, opatrzona jest przejźrzystą rogową czapeczką, na małe sześciokątne płaszczyzny podzieloną, i w zasadzie zupełnie tak zbudowaną, jak aparat, który człowiek dla wzmocnienia promieniowania światła wynalazł.

Najznajomszym z pomiędzy tak zwanych much ognistych jest chrząszcz, który w Ameryce hiszpańskiej i w Indyach Wschodnich pod nazwą „cocuja" jest znany. Światło jego jest tak silne, że człowiek korzystać z niego może. Zamknąwszy cztery lub pięć takich chrząszczów we flaszce, otrzymuje się lampę, dostateczne światło do robót zwykłych dającą. Powiadają że podróżni przytwierdziwszy sobie po jednym takim chrząszczu do końca każdego buta, wybornie sobie tym sposobem drogę oświecają. Światło wychodzi z czterech żółtych plam, znajdujących się na piersiach chrząszcza. Dwie z nich pokryte są błonami skrzydeł, wyjąwszy wtedy gdy zwierze lata, i wtedy też blask światła zwiększa się w skutek szybszego oddychania w czasie ruchu. Świecąca materya znajduje się u niego w większej ilości aniżeli u robaczka świętojańskiego, a rozchylając zwolna pierścienie tułowa, widać światło przeświecające przez przejrzyste środkowe przepony.

Dwa rodzaje chrząszczów świecących na szczególną wzmiankę zasługują. Na wyspie Singapore istnieje pewien latarnik z promieniejącem światłem. Owady te zbierające się wśród liści drzew rosnących na wilgotnym, bagnistym gruncie, i jednocześnie oświecają swoje latarnie. W jednéj chwili drzewo okrywa się błyszczącemi iskrami, które za chwilę znów zzikają tak, że ich zaledwie parę pozostaje. Chwile te go zaćmienia trwają sekundę. Przez ten czas zwierzątka zdają się wypoczywać, a gdy się im przeszkadza, świecą nieregularnie i krócéj. Borneo posiada robaka świecącego z potrójnym rzędem świetlanych punktów, którego w chróstach i między opadłemi liśćmi najczęściej znaleźć można. Jeden szereg świateł biegnie środkiem jego grzbietu, dwa drugie ciągną się po bokach.

Stonóg i glista posiadają również własność świecenia. Stonóg, dochodzący półtora cala długości, lubi przebywać w gęstwinach, gdzie go można dostrzedz czołgającego się po ziemi i czychającego na owady, któremi się żywi. Siedzibą jego światła jest pewna wilgoć, którą z siebie wydziela i którą całe swoje ciało zwilżyć może. Gdy się go podrażni, światło nabiera większej mocy, a wziąwszy owych wilgotnych wydzielin na rękę, świecą one jeszcze parę sekund. Pewien francuzki badacz przyrody był w pobliżu Paryża świadkiem dziwnego zjawiska, wywołanego przez świecące stonogi. Dano mu znać, że w polu, niedaleko domu, znajdują się glisty, które błyszczą się niby węgle rozpalone. Gdy przyszedł na to miejsce, znalazł na ziemi tylko kilka świecących jakoby kresek; gdy atoli przyniesiono łopatę i rozkopano ziemię, ukazało się takie mnóstwo stonogów, że cała ziemia od nich błyszczała. Rzeczywiste glisty obserwował pewien badacz przyrody w jednym ogrodzie pod Tuluzą. Były one blizko półtora cala długie i wyglądały jak małe sztabki do białości rozpalonego żelaza.

Nie tutaj miejsce na rozbieranie rozmaitych teoryj zjawiska o którem mowa. Jak to już wspomnieliśmy, nauka nie zdołała jeszcze stanowczo rozstrzygnąć téj zagadki. Niektórzy badacze uważają światło zwierzęce za powolne spalanie się pewnych związków fosforycznych, znajdujących się w wydzielinach zwierzęcych. Inni uważają je za objaw podobny do objawów elektrycznych u drętwika. Przy doświadczeniach przekonano się, że świecąca materya udzie la swéj własności ciałom stałym i płynnym z któremi się zetknie. Światło gaśnie w zimnie, w wodzie wrzącej i po silnych środkach drażniących; w próżni znika również, ale ukazuje się napowrót w miarę przystępu powietrza, a wzmaga się w umiarkowanem gorącu i przy użyciu łagodnie drażniących środków. U robaczka świętojańskiego, oba woreczki z żółtą materyą, którésmy wyżej opisali, posiadają tę szczególną własność, że gdy się je od żywego organizmu odłączy, jeszcze przez kilka godzin świecą bez przerwy. Prosty prąd galwaniczny, przepuszczony przez wodę w której są zachowane meduzy, nie wywiera żadnego widocznego wpływu, ale prąd elektryczno - galwaniczny sprawia w krótkim przeciągu czasu, że cała woda błyszczeć zaczyna. Po upływie kwadransa światło niknie i już więcéj wywołać się nie da. Znak to, że zwierzęta z których się wydobywało, pozdychały.

SZKICE
Z DZIEDZINY CHEMII.

II.

Becher i flogiston Stahla — Priestley i Lavoisier. — Rozbiór powietrza. — Przyczyna powiększania się wagi metalów w wysokiéj temperaturze. — Konterfekt Lavoisiera spalony na rynku w Berlinie. — Tragiczny skon tego chemika.—Guyton de Morveau i jego słownictwo chemiczne. — Mechanizm i formuły języka chemicznego. — Dalton i Berzeliusz. — Prawo Bertholleta.— Wenzel. — Zasada podwójnych rozkładów rozjaśniona przez Hoefera.—Analiza chemiczna i widmowa.—Synteza i przyszłość.

Ostatni z alchemików Jan Joachim Becher, był niezaprzeczenie pierwszym krzewicielem nowych pojęć, z których miała począć się chemia. Około 1660 roku, zaczął on rozszerzać teoryę, jakkolwiek opartą na fałszywem założeniu, to przecież odstępującą całkiem od przesądnych formuł, w jakich motała się dotąd bezsilnie alchemia. Według niego, metale miały w sobie ukryty pierwiastek palny, który przy ogrzewaniu ich do pewnego stopnia utracały Ołów naprzykład, powiadał Becher, dla tego w wysokiéj temperaturze przechodzi w glejtę (tlenek ołowiu), że pozbył się pierwiastku palnego. Dodać winniśmy, że od-

---

nogi w trzeciej pozycyi, przyjął z jej rąk pięćdziesiąt groszy z uśmiechem na różanych ustach, z lekkiem pochyleniem głowy, przyczem kłaniając się i zapewniając o swym szacunku, odprowadził ją aż do drzwi, przy ulicy.

Cała ta uprzejmość i czołobitność przypadła w podziale niebieskim lisom..

Pani*** wiedziała o tem dobrze i ma szczery zamiar zajrzeć znowu kiedyś, w czasie zamieci, do tegoż samego sklepu, w chustce na głowie i skromnie ubrana. Jesteśmy pewni że szyldkretowy grzebyczek, czesanie brody i lekceważące obejście się, wrócą na scenę,—bo pan kupiec który powinien znać się przecie na ludziach... chociażby jak na towarze tylko... wierzy w *pozór*, w tę materyalną atrybucyą wszystkiego co cześć obudza w pośród niedojrzałego i nierozwiniętego nalezycie społeczeństwa.

Reżyserya dramatu i komedyi trzyma się ciągle dobréj i właściwéj drogi, wystawiając na scenie Teatru Rozmaitości nieustannie oryginalne utwory, nowoczesnych pisarzy dramatycznych; — i tak w przyszłym numerze „Ogniska" zda sprawę z komedyi p. Kazimierza Zalewskiego „Przed ślubem", która ukazała się przed kinkietami w ubiegłą sobotę, poprzedzona rozgłosem powodzeń na jakie zasłużyła sobie we Lwowie i Krakowie. Wkrótce ujrzymy zabawną krotochwilę Józefa Blizińskiego „Chleb ludzi bodzie" graną w lecie na jednéj z ogródkowych scenek, a w pierwszych dniach stycznia p. r. wystawioną będzie komedya Edwarda Lubowskiego „Gonitwy" o któréj dużo dobrego słyszeliśmy i która równie jak „Nietoperze" posiada wszystkie warunki scenicznego, wielkiego powodzenia. Cieszymy się szczerze z tego rozwoju prac dramatycznych i nie możemy jak tylko z uznaniem wyrazić się o kierownictwie teatralnem, tak szczerze i dzielnie dopomagającem naszym młodym pisarzom, do wykazania ciągłych postępów jakie robią w najtrudniejszym fachu literackiego zawodu, który dotąd był najniewdzięczniejszym i najmniejsze korzyści materyalne przynoszącym. Przy téj zachęcie i przy ogólnem zainteresowaniu się publiczności utworami dramatycznemi, literatura sceniczna wzmoże się w siły i doścignie inne działy uświetnione genialnemi dziełami naszych wielkich pisarzy.

(X—i.

powiednio do dzisiejszego stanowiska nauki, ołów przechodzi w glejtę z téj prostéj przyczyny, że w skutek ogrzewania łączy się z tlenem, zawartym w powietrzu. Pogląd Bechera w zasadzie przyjęty został, chociaż z pewną zmianą przez Stahla, znakomitego lekarza pierwszej ćwiartki ośmnastego wieku. W hypotezie Stahla pierwiastek palny Bechera, występuje pod nazwą flogistonu. Hypoteza ta zyskała wielki rozgłos i prawo obywatelstwa między owoczesnemi uczonemi. Według Stahla flogiston był tajemniczym płynem, istniejącym we wszech metalach, a przedewszystkiem w ciałach z łatwością płonących, jako to: węglu, siarce i fosforze. Flogiston w czasie palenia się owych ciał, przyjmował postać płomienia. Metale po wyprażeniu, równie jak fosfor, siarka i węgiel, utracały flogiston, — były *zdeflogistowanemi*. Teoryę tę przecież spotykały zarzuty oparte na prostéj logice. Jeżeli, pytano, ołów ogrzewany traci swój flogiston, to glejta zeń otrzymana powinna mniéj ważyć; tymczasem metal po takiej operacyi zyskuje na wadze. Sto funtów ołowiu po wyprażeniu, daje sto sześć funtów glejty. Jak objaśnić ten przybytek tak niezgodny z teoryą? „Wiem dobrze, odpowiadał Stahl, że metale ogrzewane zyskują na wadze, lecz fakt ten popiera tylko moją teoryę. W rzeczy saméj płyn flogistonowy, będąc lżejszy od powietrza, utrzymuje ołów, który pozbawiony téj podpory, waży sto sześć funtów. Wydzielcie flogiston, a zniszczycie siłę redukującą wasz ołów do stu funtów, i ten odzyska swój ciężar prawdziwy". Poprzestawano na tem subtelnem wyjaśnieniu, i potrzeba było upływu całego ośmnastego wieku, do obalenia tej urojonéj teoryi—potrzeba było człowieka obdarzonego geniuszem, jednem słowem Lavoisiera, który w miejsce flogistonu, podstawił rzeczywisty proces palenia się, to jest *utlenianie się*.

Potrzeba było Priestleya, który wykrył *tlen*, i Lavoisier'a, który okazał że ów tlen jest jednym z dwóch gazów składających powietrze; że toż powietrze nie jest elementem lecz mięszaniną gazów — że wreszcie ciała płonąc pochłaniają tlen, a tem samem wyjaśnia się przybytek, jaki zachodzi w ich wadze po ogrzewaniu.

Od téj chwili flogiston zamknął swą kartę historyczną—transmutacye oddawna zaprzątające umysł ludzki, przeszły do dziedziny mrzonek, a teorya ciał prostych niedających się rozłożyć, czyli tak zwanych *pierwiastków*, opromieniła jasnem swem światłem wiedzę.

Po 1772 roku, Lavoisier wykrył po raz pierwszy, że ogrzewając siarkę z fosforem *w przystępie powietrza*, oba powyższe ciała powiększają swój ciężar, — w dwa lata póżniéj, dostrzegł on, że waga cyny topionéj w naczyniu zamkniętem, powiększa się o ilość wyrównywającą najzupełniéj ubytkowi w wadze powietrza, istniejącego w temże naczyniu, to jest ubytkowi powietrza, jakie znika w czasie operacyi. Fakt ten był nowem światłem dla genialnego chemika, który chcąc go sprawdzić dokładnie, rozpoczął zaraz szereg doświadczeń, odbywanych ze ścisłością posuniętą do drobiazgowości.

Z pomocą przyrządu własnego pomysłu, oznaczył on dokładnie ubytek powietrza zetkniętego z metalem ogrzewanym, który był rtęcią (merkuryuszem). Gdy rtęć dochodziła temperatury wywołującéj jej wrzenie, Lavoisier dostrzegł, że pokrywała się wówczas warstwą czerwoną (tlenkiem rtęci), oraz że powietrze zawarte w balonie szklannym, oznaczonym stopniami, łącząc się zpowierzchnią rtęci, zmniejszało swą objętość, w miarę jak warstewka czerwona nabierała grubości. Po pewnym czasie Lavoisier zaobserwował, że objętość powietrza już nie zmniejszała się w balonie, a zarazem że przestały się tworzyć na powierzchni metalu nowe warstwy czerwone — wtedy też zaprzestał dalszéj munipulacyi z rtęcią.

Rozbierając powietrze pozostałe w balonie, zaznaczył że niezdatne było do utrzymania życia, ani palenia się, że było tak zwanem przez Stahla *aër mephiticus*, i nadał mu nazwę *azotu*, to jest niszczyciela życia (*a* znak przeczenia, ujemności, *zoë* życie). Przestrzeń wypełniona przez tenże gaz w balonie, zajmowała tylko $^5/_6$ przestrzeni pierwotnie zapełnionéj przez powietrze, oznaczała zatem stosunek azotu do tlenu w atmosferze.

Następnie Lavoisier zebrał warstewkę czerwoną, wytworzoną na rtęci, i poddał ją działaniu silnego ciepła, które wróciło metalowi pierwotny wygląd, i odosobniło gaz całkiem różny od azotu, gdyż gaz ten utrzymywał życie, to jest oddychanie i palenie się ciał. Z tego względu nadał mu nazwę *powietrza życiodajnego*, a następnie *tlenu* (*oxygène*, to jest *oxus* kwas i *gennao* rodzę); mniemano bowiem wówczas, że *tlen* czyli *kwasoród*, wyłącznie może tylko wytwarzać kwasy.

Wreszcie łącząc mechanicznie azot z tlenem, Lavoisier sprawdził, że ich objętość wypełniała najzupełniéj przestrzeń pierwotnie przez nie zajmowaną w postaci powietrza w balonie, a co więcéj, że toż powietrze posiadało wszelkie własności cechujące je przed doświadczeniem.

Widzimy zatem, że Lavoisier nietylko wykrył prawdziwą przyczynę powiększania się wagi metalów przez ich *utlenianie się*, ale nadto dowiódł, że powietrze jest mięszaniną dwóch gazów, tlenu i azotu. Z chwilą tego odkrycia, chemia poczęła pierwszą życia godzinę. Nowa teorya wszakże musiała walczyć z flogistoniczną, i dopiero po uporczywym boju otrzymała zwycięztwo. W rzeczy saméj Priestley z Cavendisch'em i Scheel'em, genialnym poprzednikiem Berzeliusza, wystąpił przeciw nowym poglądom Lavoisier'a. Walka ta nacechowaną została pewnem barbarzyństwem, okazującem najjawniej, do jakich bezeceństw mogą doprowadzać namiętności ludzkie, zrywające się pod czaszką najinteligentniejszych umysłów. Dość powiedzieć, że wizerunek Lavoisier'a spalonym był publicznie na rynku w Berlinie, przez zagorzałych stronników flogistonu. Stara to zresztą historya — nowe pojęcia zanim zrobią wyłom w murach przesądu, muszą przechodzić ciernistą drogę — prawda nie zawsze dostępuje zaszczytów tryumfu.

Każdemu z nas zapewne jest wiadomym tragiczny koniec życia Lavoisier'a. Krwawy topór w 1794 roku uderzył w tę inteligentną głowę — zapominając jakie usługi oddała ludzkości, i jakie jeszcze mogła oddać. Światło wszakże rozrzuciło już swe blaski, a nielitościwy topór nie zdołał powstrzymać postępu nowych idei, podobnie jak cykuta zadana Sokratesowi nie mogła zagłuszyć pojęcia o jedności Boga.

Dla nowéj nauki potrzeba było języka jasnego, zrozumiałego dla wszystkich. Ubiegły już bowiem czasy tajemniczości, naiwnéj kabalistyki—w którą spowijali alchemicy swą wiedzę, śmiesznemi częstokroć terminami osłaniając nazwy ciał, używanych przez nich w manipulacyi. *Czarny orzeł, czerwony lew, śnieg filozoficzny, magister słońca, księżyc rogaty*, oto mistyczne słowa, osłaniające związki zwane dziś: *siarkiem rtęci, tlenkiem cynku, chlorkiem złota, chlorkiem srebra* i t. p.

Guyton de Morveau pierwszy może pojął znaczenie nomenklatury chemicznéj, — a w téj mierze prawdopodobnie Bergmanowi zawdzięczał ideę wytworzenia języka chemicznego. Będąc rzecznikiem, zajmować się mógł chemią jedynie z zamiłowania, i wkrótce spostrzegł jak trudnem i mozolnem jest zadaniem używać wyrazów ciemnych, często pociesznych, których znaczenia musimy dopiero poszukiwać.

Przyszła mu wtedy myśl, wynaleźć dla każdego związku chemicznego oddzielny wyraz, określający jakość i ilość ciał tenże związek tworzących. W formowaniu tego słownictwa Fourcroy i Berthollet wspierali Guyton'a de Morveau.

Pracę powyższą rozpoczęto odrzuceniem wszelkich nazw planetarnych nadanych metalom przez alchemików. Złota, srebra, miedzi, ołowiu, żelaza, cyny, nie nazywano już odtąd: Słońcem, Księżycem, Wenerą, Saturnem, Marsem i Jowiszem. Jedynie merkuryusz (rtęć) zachował swą nazwę astronomiczną, być może dla złożenia ostatniego hołdu pamięci bożka Hermesa.

Mechanizm języka chemicznego uproszczonym został nieslychanie — liczebniki greckie, naprzykład *proto, deuto, trito*, dodane do słowa *tlen*, wyrażały stopień utlenienia danego ciała. I tak najsłabszy stopień utlenienia miedzi, oznaczony został terminem prototlenu miedzi, nieco wyższy w utlenianiu związek tegoż metalu, nazwano deutotlenem miedzi i t. d. Chcąc ocenić to uproszczenie w słownictwie chemicznem, dość jest zwrócić uwagę, że owe połączenia miedzi z tlenem, nosiły dawniej nazwy: *Wenera lekko deflogistowana, Wenera średnio deflogistowana, Wenera wysoce deflogistowana.* Podobna terminolgia nie tylko nie jest odpowiednią ścisłości naukowéj, ale nadto niedorzeczną i śmieszną.

Lavoisier chemię wytworzył, Morveau to nowonarodzone dziecię nauczył szczebiotać zrozumiale. Ostatnie lata ośmnastego wieku były tem samem niezmiernie ważne dla postępu téj nauki — ciemności ją otaczające ustąpiły, powijaki krępujące jej ruch stargane zostały. Następcy Lavoisier'a i Morveau pracami swemi przyczynili się do rozwoju dalszego téj pięknéj nauki.

Dalton i Berzeliusz, można powiedzieć, chemię uzupełnili. Pierwszy oznaczył prawo stosunków wielościowych i określił *atomy*, — drugi toż prawo objaśnił graficznie z nieporównaną jasnością.

Przed dwudziestu trzema wiekami Leucippus, filozof grecki, nauczyciel Demokryta, orzekł, że wszystkie ciała istniejące w przyrodzie, składają się z niezliczonych atomów obdarzonych ruchem wieczystym. W dwieście lat późniéj, Epikur przyjął tę teoryę, czerpniętą z dzieł Demokryta, i publicznie ją wygłaszał.

Dalton, podzielając w zasadzie pogląd Leucippa, poczytywał materyę, pod jakąkolwiek ta przejawiała się postacią, za zbiorowisko *molekułów*, z których każdy stanowiły *atomy* grupujące się z sobą. Atomy te w ciałach prostych identyczne, odmienne zaś w ciałach złożonych, według jego teoryi stowarzyszały się z sobą, jednoczyły, grupowały odpowiednio do prawa związków i ich ustosunkowań rozmaitych.

Berzeliusz przedsięwziął uzmysłowić atom danego pierwiastku, za pomocą początkowéj litery nazwy tegoż pierwiastku. I tak: S wskazuje atom siarki, O atom tlenu (oxygène), H atom wodoru (hydrogène). Jeżeli wiele atomów danego pierwiastku wchodzi w skład związku złożonego, literę początkową (symbol) tegoż pierwiastku objaśnia współczynnik, wskazujący liczbę jego atomów. I tak kwas siarczany jest związkiem jednego atomu siarki (S), z trzema atomami tlenu (oxygène, O^3) — połączenie to zatem wyrazi formuła SO^3. Tlennik żelaza jest związkiem 2 atomów żelaza (Ferrum, Fe^2), z trzema atomami tlenu (oxygène, O^3), tem samem wyrażać go będzie formuła Fe^2O^3. Na podstawie téj metody Berzeliusza, łatwo możemy odczytywać i wypisywać wzory czyli formuły, wszelkich związków chemicznych.

Na kilka lat przed tem, Berthollet chemik francuzki, wyprowadził prawo zarządzające podwójnym rozkładem soli, sprawdzone w końcu ostatniego wieku przez Wenzla, cichego lecz zasłużonego chemika niemieckiego.

Prawo Bertholleta wyjaśnia nam przedziwnie Hoefer.

„Jeżeli, powiada on, dwie jakiekolwiek sole A i B, rozpuszczone w wodzie, są razem zmieszane, — jeżeli przez ich wzajemne na siebie oddziaływanie może się tworzyć w płynie sól rozpuszczalna i nierozpuszczalna, lub dwie sole nierozpuszczalne, to w tym razie sole A i B ulegają zawsze rozkładowi, to jest kwas jednéj soli, łączy się z zasadą drugiej i odwrotnie. Następuje to bezwarunkowo, jeżeli nie wytwarza się sól podwójna rozpuszczalna, co przecież rzadko się zdarza.

Prawo Bertholleta z małemi wyjątkami sprawdza się we wszelkich związkach.

Gdy naprzykład wlejemy roztwór siarczanu potażu, do roztworu azotanu baryty, dostrzegamy natychmiast opadający osad biały, nierozpuszczalny, który jest *siarczanem baryty*.

W jaki sposób możemy sobie wyjaśnić ten proces? Działaniem bardzo prostem.

W skutek podwójnego rozkładu, kwas siarczany (zawarty w siarczanie potażu) zastąpił miejsce kwasu azotnego *w rozpuszczalnej* soli *azotanu baryty*, i wytworzył łącząc się z tąż barytą, sól *nierozpuszczalną*, to jest *siarczanu baryty*. Kwas azotny i potaż w tym razie wyłączone ze swych związków, połączyły się i wydały nową sól *rozpuszczalną* i azotan potażu.

Liczne doświadczenia chemii elementarnéj popierają zasadę rozkładów podwójnych, przedstawiając ciekawe zjawiska. Dwa płyny przejrzyste pomieszane z sobą wydają osady żółte, zielone, czerwone, białe, odpowiednio do soli nowowytworzonéj.

Po Berthollecie, Daxy, Gay, Lussac, Dumas, Liebig i wielu innych chemików, których nieśmiertelne nazwiska wypisane zostały w panteonie wiedzy, rozjaśniło liczne zjawiska zwiąków chemi cznych. Analiza w ich rękach stała się narzędziem cudownem, które przebiło i u żyzniło dziewiczą jeszcze ziemię młodéj chemii. Pierwsze odkrycia analizy wzbudziły ciekawość i gorączkowe pragnienie nowych zdobyczy. Analiza widmowa wynaleziona przez Bunsena i Kirhoffa, podała nowy środek badań geniuszowi ludzkiemu. Od téj chwili człowiek mógł śledzić przestrzenie planetarne, — słońce i gwiazdy spowiadały mu się ze swych tajemnic. Nie poprzestając na tych odkryciach, chemik od analizy zwrócił się do syntezy; dotąd rozkładał ciała na pierwiastki, teraz postanowił z tychże pierwiastków też ciała złożyć. Owóż z dwóch objętości wodoru i jednej objętości tlenu, składa się woda. Rozłożono ją na części składowe, i z nich odwrotną drogą otrzymano wodę. Berthollet w ten sposób odtworzył alkohol, etery, kwasy tłuste i inne związki. W tych procesach człowiek naśladował naturę, która spełnia rozkłady i składy—niszczy i odbudowywa, oddziaływa na ruch, to jest na życie.

Dziś chemia opierając się na swej siostrze fizyce, postępuje dalej w światy których odległości jeszcze nieznamy—kresy jej są dalekie, i mogą doprowadzić do zdobyczy poczytywanych niegdyś za marzenia. Zadania chemii wiążą się ze społecznemi. Jakiż pożytek przynosić może praca i podwyższona płaca, jeżeli chleb nie stanie się tańszym, i brak jego daje się uczuwać dotkliwie—jeżeli mieszkanie będzie drogiem i skąpo oświetlonem? Produkcya nieskończenie wiksza wszelkich rzeczy do życia nam potrzebnych, pozyskana pracą nieporównanie mniejszą od dziś zużywanéj — oto zadania jakie rozwiązane zostaną w przyszłości, za przewodnictwem fizyki i chemii. Czyż te nauki nie dały nam już gwarancyi w dotrzymaniu swych obietnic? Nie obdarzyłyż nas parą, elektrycznością i gazem, innemi słowy siłą, szybkością i światłem? Dla czegóżby nie mogły obdarzyć nas dostatkiem pożywienia?

Gdy praca fizyczna nie będzie wyczerpywać sił naszych, gdy wiedza pozwoli nam swobodnie korzystać z piękna i prawdy, człowiek pozyska dobrobyt, będący dziś najczęściej zwodniczą nadzieją jego zabiegów.

Chemia podaje środki najtańszego wyprodukowania żelaza, najkorzystniejszego zużytkowania roli, dla któréj wskazuje potrzebne pierwiastki wpływające na żyzność ziemi. Oddaje wreszcie przemysłowi najrozmaitsze przetwory, które mu posługują do zabarwiania tkanin, otrzymywania światła, fabrykowania różnorodnych produktów potrzebnych do uwygodnienia życia. Z rozwojem chemii można powiedzieć wiąże się dobrobyt społeczny, zależny od czasu i pracy, któréj dziś postępy już podziwiamy. Cierpliwości — córa alchemii spełnić może w odległéj przyszłości nie jedno zadanie, za utopię niegdyś poczytywane, gdyż już w bieżącym wieku dokonała cudów.

Wincenty Niewiadomski.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Zupa głogowa.** Gotuje się w miękiej wodzie pół kwarty głogu do miękości, przeciera się przez gęste sito, i dolewa ciągle do sita z pół garnca wody gotowanej, leją się trzy szklanki wina białego francuzkiego, a kto chce, można wlać i więcéj, sporo cukru i cynamonu tłuczonego. Do téj zupy dają się biszkopty lub sucharki, zupa ta jest też dobra i na zimno.

— **Trufle po włosku.** Pokrajać trufle biało cienko na szatkownicy, ułożyć na blacie. Tymczasem utłuc drobno w moździerzu kilka serdeli z ząbkiem czosnku, przydać sporą ilość masła świeżego i tyleż wybornéj oliwy, zagotować, polać tym warem i ułożone na półmisku trufle wydać niezwłocznie na stół. Można też te listki trufli przesypać utartym serem parmezańskim i sparzyć tym zagotowanym sosem.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 1 (13) Декабря 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 62.)

W czerwcu byłaby mogła wziąść książkę, wyjechać za miasto i cały dzień spędzić spokojnie i przyjemnie pod drzewami, ale w grudniu?... Nie mając przyjaciół ani znajomych w Londynie, mogłaby była tylko udać się na jaką wystawę obrazów, ale lady De Benham nigdy nie byłaby się odważyła sama na taką wyprawę. Z usposobieniem więc na pół trwożliwem, na pół wyzywającem, ale zawsze z wielkim wstrętem, pozostała w domu, oczekując wizyty panny Hardwicke.

Poranek i po południe minęło, i za każdym przejeżdżającym powozem podnosiła głowę, spodziewając się zawsze ujrzeć żółtą karetę, bo lady De Benham była pewną, że kareta musi być żółtą i że liberye i wszystkie przybory będą jak najjaskrawsze i najświetniejsze. Zmrok zaczął zapadać a panna Hardwicke nie przybywała.

Z całą nielogicznością właściwą kobietom, lady De Benham zaczęła się na nią gniewać że nie przyjeżdżała. Kiedy ona starsza, mężatka, wyższa stanowiskiem, przyjęła dar panny Hardwicke, posłała jéj na podziękowanie bilet swój, i posłała go przez własnego syna, czyż nie było wyraźnym obowiązkiem panny Hardwicke być u niej osobiście nazajutrz? Nie czyniąc tego, okazywała głęboką nieświadomość zwyczajów dobrego towarzystwa, ale z drugiej strony nie można się było dziwić tej nieświadomości.

Ale gdy zmrok w noc już przechodził i gdy zaczynano zapalać latarnie na ulicach, mała, skromna, ciemna karetka zajechała przed bramę, i panna Hardwicke sama, nie mając z sobą ani jednego lokaja, wysiadła i zadzwoniła. Nie było jeszcze tak ciemno na dworze żeby lady De Benham nie mogła ujrzeć jak skromnym i bez żadnych pretensyj był powóz, i jak niemniej skromnym i bez pretensyi był ubiór osoby wysiadającej z niego. Czyż mogła to być ta dumna i wystrojona pani jakiej się spodziewała?

Usłyszała jak głos dźwięczny i poważny pytał się o nią, służąca drzwi otworzyła i wprowadziła pannę Hardwicke.

Pierwsze przywitania prawie w milczeniu się odbyły. Lady De Benham, trochę wzruszona, widząc jak się omyliła w swoich przypuszczeniach, wyciągnęła rękę jakby z wahaniem, powiedziała kilka niezrozumiałych słów, i wskazała przybyłéj krzesło obok kominka. Panna Hardwicke, spokojna i grzeczna, z tym odcieniem uszanowania, jakiego wymagały okoliczności, usiadła na wzkazanem miejscu.

Po krótkiem zamienieniu zwykłych grzeczności, Ptak Burzy stał się przedmiotem rozmowy. Panna Hardwicke wzmiankę uczyniła o mistrzowskim podstępie za pomocą którego lord De Benham odebrał okręt. Matka Templa chwaliła Arczybalda Blyth i udział jaki wziął w niebezpieczeństwach i trudach tej podróży.

— Czuję że niesprawiedliwą byłam względem Arczybalda, powiedziała panna Hardwicke; wiedząc że nie był zbyt rozumnym, jako jedyne zalety przypisywałam mu dobre serce i miłe obejście.

— Zdaje mi się że wszyscy skłonni jesteśmy sądzić o sercu innych podług ich głowy, odpowiedziała lady De Benham. Za mało ceniłam pana Blyth, kiedy Temple poznał się z nim w tym kościołku w City; wstyd mi teraz to sobie przypomnieć. Gdyby nie jego poświęcenie, mój syn byłby umarł na wyspach Azorskich.

— Jestto wielką rzeczą umieć być dobrym przyjacielem.

— W istocie.

— Wyłącznie ją sobie przywłaszczyli mężczyzni.

— Sądzę że tak nie jest.

— Historya tak zdaje się wskazywać. W starożytności, wszystkie sławne przyjaźnie istniały tylko między mężczyznami.

— Zacząwszy od Kaina i Abla, powiedziała lady De Benham.

Panna Hardwicke się uśmiechnęła.

— Byli braćmi, powiedziała, ale nie zdaje mi się, aby byli przyjaciółmi.

Przyszła kolej na lady De Benham uśmiechnąć się. Lubiła ironię, i dawniej kiedy serce i kieszeń były równie lekkiemi, rozmowa syna błyszczała dowcipem i przycinkami; ale czasy te minęły, majątek zabił dowcip, i ironia znikła z jego słów, gdy bawełna tylko umysł jego zaprzątnęła. Było to w naturze rzeczy; mała jest tylko liczba ludzi umiejących razem oddać się interesom i wesołości; żadne krzesiwo nie wydobędzie iskier ze złota. Lady De Benham, żyjąca w odosobnieniu i nie znająca innej rozrywki prócz przyjemnéj rozmowy, żałowała ostrych przycinków i wybuchów wesołéj przeszłości; gdy więc odkryła że panna Hardwicke umiała rozmawiać, i że rozmowa jej była właśnie lekko ubarwioną ironią, uśmiechnęła się, co zapowiadało przychylniejsze usposobienie.

— Nie podziękowałam jeszcze pani za te prześliczne kwiaty, powiedziała. Gdy się oglądam po pokoju, zdaje mi się że to lato.

— Mam nadzieję że mylady pozwolisz mi utrzymywać to złudzenie do maja, rzekła panna Hardwicke.

Lady De Benham znów zesztywniała. Mogła przyjąć grzeczność i uprzejmie za nią podziękować, ale kiedy chciano ją obarczać długim szeregiem ustawicznych towarzyskich usług, znajdowała że za wiele sobie pozwalano.

Panna Hardwicke postrzegła błąd i pospieszyła go naprawić.

— Albo raczéj, miałabym tę nadzieję, dodała z wielkim spokojem, gdybym nie była obcą, gdyż jako taka, nie mam prawa przywłaszczać sobie przywilejów przyjaciół lady De Benham.

Lekki ukłon był jedyną odpowiedzią na to tłomaczenie; lady De Benham nie tak łatwo stawała się przystępną.

Rozmowa znowu stała się zwykłą, i niedługo panna Hardwicke powstała żeby odejść. Lady De Benham była ciągle zimną i poważna, raz się uśmiechnęła i na tem się skończyło; tymczasem panna Hardwicke trzymała w odwodzie swój zamach stanu.

— Lady De Benham, powiedziała, kiedy się już do drzwi zbliżała, przywiozłam z sob rzecz która powinna wzbudzić twoje zajęcie pamiątkę...

— Pamiątkę?

— Jest w powozie. Jeżeli pozwolisz przyniosę...

Lady De Benham wyciągnęła rękę do dzwonka.

— Jeżeli życzysz sobie pani mieć przedmiot znajdujący się w powozie, służąca po niego pójdzie.

Ale panna Hardwicke wolała pójść sama.

Lady De Benham była mocno wzruszoną. Jakiż mógł być ten przedmiot zostawiony w powozie? Może jaki nowy dar? Nie można było myśleć o przyjęciu go jakikolwiek był; postanowiła odrzucić go, grzecznie ale stanowczo, i dać pannie Hardwicke potrzebną naukę.

Tymczasem służąca, tak tłomacząc pociągnięcie dzwonka, przyniosła lampę, i kiedy panna Hardwicke powróciła, zastała pokój oświecony.

Pierwszy to raz dwie kobiety mogły spojrzeć na siebie. Panna Hardwicke, składając na stole dość dużą paczkę, ujrzała przed sobą postać bladą, szczupłą, pełną godności, o ostrych rysach i ciemnych włosach już posrebrzonych; mogła mieć od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, i oczy jej, jak oczy syna, miały dziwnie głębokie i surowe spojrzenie. Lady De Benham, badając pannę Hardwicke z ciekawością nie bardzo dobrze usposobioną, musiała uznać tę rzadką, królewską piękność, o której już tyle słyszała.

Panna Hardwicke, otworzywszy paczkę, wyjęła z papieru zwinięty kawałek materyi czerwonej, zbrudzonej i wypłowiałej, kawałek ten materyi miał blizko trzy łokcie długości, a w najszerszem miejscu sześć cali szerokości; z jednej strony kończył się śpiczasto, z drugiej był ozdobiony małym białym krzyżem na ciemno szafirowem tle, a w środku był prawie przedarty wielką, półkulistą, obszarpaną dziurą, jak gdyby ktoś ręką kawałek ten oderwał.

— Jestto chorągiew Ptaka Burzy, powiedziała panna Hardwicke. Oto gdzie kula armatnia ją przeszyła na chwilę nim przypadek uniemożebnił ucieczkę. Myślałam że miłoby ci było mylady, posiadać ją na pamiątkę przygód twego syna.

Blade lica lady De Benham okryły się rumieńcem radości; rozłożyła chorągiew i przyglądała się jej z zajęciem.

— Jestto prawdziwa pamiątka, powiedziała, i bardzo droga pamiątka! Nie wiem jak potrafię pani podziękować.

Nie był to już lekki odcień przychylności, ale prawdziwe i serdeczne wylanie. Gdyby panna Hardwicke trochę dostępniejszą była (bo nawet kiedy czyniła to wielkie wysilenie żeby zapomnieć zwyczajnéj wyniosłości, była zawsze niedostępną), lady De Benham byłaby ją wzięła w swoje objęcia i ucałowała.

— Nie dziękuj mi, mylady, rzekła panna Hardwicke. Mój brat był w Liwerpool obejrzeć okręt, kiedy się dowiedział o jego przypłynięciu do tego portu, i przywiózł mi tę chorągiew, jako ciekawość. Myślałam, że dla ciebie będzie czemś więcej niż ciekawością i że masz większe odemnie prawo ją posiadać.

Pożegnała się potem. Lady De Benham odprowadziła ją do drzwi salonu.

— Nigdzie nie bywam, panno Hardwicke, powiedziała, nikogo nie widuję, ale mam nadzieję że mnie jeszcze odwiedzisz.

Panna Hardwicke odpowiedziała z największym wdziękiem, że takie pozwolenie, pochodzące od lady De Benham, było rzeczywistym przywilejem, i nie tylko to powiedziała, ale zdawała się tak myśleć, co się tak podobało lady De Benham, że serdecznie uścisnęła ją za rękę.

Nazajutrz rano kiedy De Benham powrócił, ujrzał starą czerwoną chorągiew zawieszoną nad kominkiem. Matka pospieszyła mu opo-

wiedzieć co to było, zkąd ją miała, i całe odwiedziny panny Hardwicke.

— I jakże ci się podoba, matko? zapytał gdy wszystkiego wysłuchał.

— Mój drogi, powiedziała lady De Benham, znajduję ją uroczą.

ROZDZIAŁ XVI.

Ważna sprawa.

— Jeżeli, mylordzie postanowiłeś wyjechać..

— Postanowiłem wyjechać.

— Pomimo stanu twego zdrowia...

— Pomimo wszystkiego.

— W takim razie, gotów jestem przychylić się do twoich propozycyj. Jeżeli chcesz, możesz zostać współwłaścicielem Ptaka Burzy i moim wspólnikiem we wszystkich stratach i korzyściach przyszłych wypraw.

— Bardzo dobrze.

Było to wieczorem, w dzień powrotu De Benhama z Benhampton. Po południu tak był osłabionym, że musiał dwie godziny leżeć na łóżku, ale siłą woli wstał i ubrał się, żeby się stawić na umowioną godzinę u państwa Hardwicke. Siedział teraz naprzeciwko gospodarza, przy kominku, w wielkiem krześle; skończyli już obiad, i panna Hardwicke odeszła, zostawiając brata i gościa rozmawiających o interesach i zapijających wino. Butelki obok nich stały, i p. Hardwicke czasem nalewał sobie kieliszek wina, ale De Benham swego nie dotknął.

— Kiedy będziesz mógł wyjechać, mylordzie? zapytał kupiec.

— Kiedy z pewnością Ptak Burzy będzie gotów do wyjazdu?

— Mój agent mówi że za tydzień; list jego był pisany w poniedziałek, a dzisiaj mamy czwartek; zamiast tygodnia, powiedzmy dziesięć dni na naładowanie okrętu; można więc się spodziewać, że za trzy tygodnie będzie gotów do wyjazdu.

— De Benham zamyślił się przez chwilę.

— Nie chciałbym opuścić Anglii, powiedział, przed ukończeniem interesów jakie mam teraz w Monmouthshire.

— Jeżeli nie będą wtedy ukończone, powiedział pan Hardwicke, okręt może tydzień dłużej się zatrzymać.

— Spodziewam się że wszystko będzie ułożone za trzy tygodnie, odrzekł De Benham, i znużony oparł się w krześle.

P. Hardwicke spojrzał na niego.

— Zdaje mi się, powiedział, że człowiek puszczający się na tak trudne i ciężkie przedsięwzięcia, powinien być w zupełnie dobrem zdrowiu.

De Benham podniósł się natychmiast.

— To znaczy że myślisz pan że jestem chorym, powiedział, ale nie jestem chorym; jestem naturalnie bladym, zawsze nim byłem. Dziwna to rzecz, ze każdy we mnie wmawia chorobę.

Lecz w sposobie w jakim zmienił miejsce na krześle, nie wspominając już o wychudłych rysach i o ciemnych obwódkach na około oczów, łatwo było poznać jak rzeczywiście był cierpiącym.

— Byłeś chorym, mylordzie, i widać to po tobie, powiedział p. Hardwicke łagodnie, i pewny jestem że lepiejbyś uczynił czekając do wiosny, a najlepiej porzucając ten zawód trudzący.

— Porzucić ten zawód! Dla czegoż miałbym to uczynić?

— Dla tego że szkoda ciebie do tego; jeżeli pozwolisz mi się tak wyrazić, mylordzie, szkoda człowieka z takiemi zdolnościami do przedsięwzięć, którémi mogłyby kierować równie dobrze mniej zręczne ręce.

— Ale zdaje mi się że ci już wytłomaczyłem, panie Hardwicke, że mnie potrzeba pieniędzy.

— To prawda, ale są inne drogi, inne sposoby...

— Gdzież mógłbym znaleźć drogę, po któréj idąc mógłbym zarobić sześćdziesiąt tysięcy funtów w siedmiu miesiącach? Sam mi mówiłeś, panie Hardwicke, temu dwa dni, że żadnéj innéj nie znasz.

— Zdaje mi się, mylordzie, że mówiłem iż mało jest zajęć przynoszących w tak krótkim czasie równie wielkie zyski; byłbym się mylił mówiąc że nie ma żadnego. W jednym dniu na giełdzie, zarobiono summy wyższe od sześćdziesiąt tysięcy funtów.

— Lub w jednej nocy przy stoliku gry w Homburgu. Nie, nie, panie Hardwicke, mogę się na różne niebezpieczeństwa narażać, ale graczem nie jestem.

— Jest także inna loterya, rzekł pan Hardwicke, wahając się.

— To jest...

— Małżeństwo.

— Małżeństwo!

— Tak, mylordzie, małżeństwo. Jesteś młodym, posiadasz talenta, wykształcenie, tytuł. Jakaż kobieta z majątkiem, odmówiłaby ci swojéj ręki.

— Jakto! sprzedać się i pojąć starość, brzydotę! zawołał De Benham.

Pan Hardwicke spojrzał na popiersie siostry stojące jak mówiliśmy w niszy, otoczonej pąsowemi aksamitnemi firankami.

— Majątek nie zawsze jest towarzyszem starości i brzydoty, powiedział; nie widzę dla czego nie miałbyś razem otrzymać młodości i urody.

De Benham postrzegł to spojrzenie, i lekki nacisk z jakim p. Hardwicke wymówił te słowa. Zadrżał prawie na krześle rozumiejąc co one znaczyły, i przez chwilę panowało milczenie; p. Hardwicke spoglądał na ogień, De Benham, na pana Hardwicke.

— Zdaje mi się, powiedział powoli i niechętnie, zdaje mi się, że żadnéj kobiecie młodéj, pięknéj i bogatéj nie pochlebiałby ten wybór człowieka, którego pierwszym bodźcem byłaby tak oczywista chęć powiększenia swego majątku.

Pan Hardwicke odchrząknął.

— Nie trzeba w takiem świetle przedstawiać sobie rzeczy, powiedział.

— Przepraszam; ja właśnie tak, a nie inaczéj, przedstawiam to sobie, odrzekł De Benham. Zapytałbym się téj kobiety, gdybym taką znalazł, czy chce mi dopomódz do podniesienia z upadku starożytnéj rodziny, do odbudowania zrujnowanego zamku, do odkupienia włości od dawna przeszłych w obce ręce, i zapytałbym się jéj, czy podobnemu celowi chce poświęcić swoje życie, i czy chce zostać matką nowego rodu angielskich baronów.

— Byłoby to szlachetne przedsięwzięcie, powiedział pan Hardwicke zamyślony, i godne kobiety wyniosłego charakteru.

I znów oczy jego zwróciły się, tą razą może nie mimowolnie, ku popiersiowi siostry.

— Nie mógłbym teraz mówić o miłości żadnéj kobiecie, powiedział De Benham ponuro. Żyję dla tego jedynego przedmiotu, który pochłania wszystkie moje myśli. Jestto moja jedyna namiętność; dla innéj nie ma w mojem sercu miejsca.

Pan Hardwicke powiedział, że małżeństwa oparte na wzajemnym szacunku były często najszczęśliwszemi, i milczenie zapanowało i trwało, dopóki kupiec wraz z gościem swoim nie przeszli do salonu.

Godzina następna powoli przeszła. De Benhamowi świeże wspomnienie téj rozmowy zdawało się że język związało; p. Hardwicke kręcił się i nie był w swoim humorze, panna Hardwicke tylko, jak zwykle, była spokojna i niewzruszona, ale jak zwykle mało mówiła. Kiedy ją proszono żeby śpiewała, zaśpiewała smutną, poważną melodyę.

Klaudya Hardwicke śpiewała dobrze tak, że nawet wykwintny gust De Benhama mógł być zadowolonym, i umiała dobrać to co śpiewała, nietylko do swego głosu, ale i do swojéj osoby. O to także powinni się śpiewacy starać, i panna Hardwicke nie byłaby zaśpiewała nigdy wesołéj piosneczki ani namiętnéj aryi z opery.

De Benham słuchał z uwagą i przyjemnością jak śpiewała tę uroczystą i spokojną pieśń, i gdy ostatnie dźwięki pełnego i świeżego głosu zamarły na jéj ustach, pomyślał, że chciałby ją słyszeć śpiewającą pieśń którą skomponował do słów Goethego, gdy był studentem w Zollenstrasse. Nie prosił ją jednak żeby dłużéj śpiewała i kiedy opuściła fortepian, wstał także i pożegnał ich.

Nie mógł spać téj nocy i dnia następnego a wiele dni potem był niespokojniejszym niż zwykle, myśląc o wszystkiem co mu pan Hardwicke powiedział. Słowa te musiały mieć znaczenie. Mógł los swój poprawić bogatem ożenieniem się; żadna kobieta majętna nie odmówiłaby mu swojéj ręki; młodość, piękność i majątek, mogły się znaleźć połączone w jednéj osobie. Cóż mogło to wszystko znaczyć, jeżeli nie dawać mu do zrozumienia, że dobrzeby uczynił, ofiarując Klaudyi Hardwicke swoją rękę i swój tytuł.

Zapytał się wtedy siebie czy mógł, czy śmiałby to uczynić?

Byłoby to bogactwo, bogactwo ogromne i pewne, byłoby to nagłe spełnienie jego marzeń, spoczynek zamiast pracy, dla serca matki radość nie do opisania, bo nie opuszczał by już jéj żeby się na niebezpieczeństwa wystawiać, i nie brudziłby już rąk swoich tym handlem tak jéj nienawistnym. Co więcéj, byłoby to może zachowanie, jeżeli nie życia jego, to zdrowia tak dotąd silnego.

Bo chociaż nie chciał jeszcze przyznawać przed sobą samym przykréj prawdy, czuł jednak że siły nie powracały. Doszedłszy do pewnego stopnia w powrocie do zdrowia, zdawał się nie módz daléj postąpić. Zaczynał się nawet od jakiegoś czasu obawiać, że zamiast nabywać nowych sił, codziennie stawał się słabszym. Gdyby wypłynąwszy na Ptaku Burzy znowu zachorował? gdyby stan jego na zawsze takim został? gdyby umarł nie dokończywszy swego zadania?

Przypomniał sobie wtedy że przysiągł je spełnić za jakąbądź cenę. Wyrzekł się już kobiety i sztuki, będących najdroższemi skarbami jego serca, zdeptał i odrzucił wszystkie najlepsze nadzieje i najszczytniejsze porywy, do jakich serce jego było zdolne. Dla czegoż teraz miałby się wahać? dla czegoż się zatrzymywać przed tą ostatnią próbą? Nie było zapewne trudniejszem zaślubić kobietę któréj nie kochał, jak porzucić tę, którą serce jego wybrało. Było to nowe poświęcenie, nie pociągające za sobą niesprawiedliwości względem nikogo, prócz siebie samego. W podobnem małżeństwie nie było w żadnym razie nic hańbiącego. Jeżeli panna Hardwicke gotowa była za niego pójść dla jego tytułu, on bez wątpienia mógł się z nią ożenić dla jéj pieniędzy. Byłby to prosty interes, nic więcéj; interes w którym miłość i szczęście nie miałyby żadnego udziału, ale gdzie szala wspólnych zysków byłaby równą z każdéj strony.

Były dnie i godziny w których De Benham w podobny sposób rozumował, ale były inne

chwile, w których z zupełnie innego stanowiska na ten przedmiot się zapatrywał. Wtedy powtarzał sobie, że nie miał prawa robić takiego użytku ze starożytnego imienia i tytułu, że byłoby to podłe frymarczenie najszlachetniejszemi rzeczami, że żaden cel, jakkolwiek ważny, nie mógł usprawiedliwiać używania podobnych środków, i że tysiąc razy lepiéj było pracować długo i ciężko i samemu sobie zawdzięczać swe bogactwa.

Ale czy mógł mieć nadzieję być jeszcze dość silnym, żeby takich trudów podejmować się, aby zebrać to co mu potrzebnem było? Wojna amerykańska mogła lada chwila się skończyć, a z nią razem upaść wyprawy po bawełnę i zyski przynoszące tysiąc dwieście od sta. Ten majątek także, jeżeliby go się kiedy dorobił, zostałby w zupełności na handlu zrobiony, a poświęcać handlowi całe życie, byłoby równie złem, jeżeli nie gorszem, jak sprzedać się bogatéj dziedziczce z City.

Czasem pytał się siebie, czyby nie mógł pokochać Klaudyi Hardwicke; ale serce jego zawsze aż nadto było gotowe z odpowiedzią. Klaudya Hardwicke, pomimo swéj nadzwyczajnéj piękności, była dumną, niemiłą, niesympatyczną; był pewien, że w jéj naturze nie było nic tkliwości kobiecéj. Mógł ją podziwiać chłodno i spokojnie, jak się podziwia piękny posąg, mógł żyć z nią w stosunkach wzajemnego szacunku, ale nigdyby dla niéj nie mógł mieć miłości.

Miłość.. szaleństwo i złudzenie! Czemże dla niego była teraz miłość? Czyż nie przemarzył od razu tego marzenia, i nie obudził się z niego? Czyż nie odsunął dobrowolnie złotej czary miłości, wiedząc, że nigdy już usta jego jéj się nie dotkną? Teraz tylko trzeba było myśleć o dotrzymaniu przysięgi, o podniesieniu w jego i jego potomków osobie, dawnéj sławy rodziny De Benhamów z Benhampton.

Przez cały tydzień unikał kantoru Hardwicków, Arczybalda, wszystkich. Przez cały tydzień tak rozmyślał, przechylając się to na jedną, to na drugą stronę, i umysł jego czuł się znużonym tem ciągłem, jednem zajęciem; pomimo tego, przy końcu tygodnia, pytał się jeszcze siebie co pocznie, i napróżno starał się powziąść stanowcze postanowienie.

Ósmego dnia rano, kiedy jeszcze znajdował się w tym przykrym stanie niepewności, odebrał dwa listy, jeden od pana Morley Durrant, architekta, którego posłał przed paru dniami dla obejrzenia szczątków zamku Benhampton; drugi od prawników swoich, panów Balfour i Black. De Benham przeczytał naprzód ten ostatni, następującéj treści:

Mylordzie!

Młodszy nasz wspólnik, p. E. Black, powrócił dzisiaj z Monmouth, gdzie troskliwie obejrzał papiery znajdujące się w starym kufrze wzmiankowanym przez ciebie, a szczególnie tytuły nadania tyczące się téj części dóbr Benhampton, jaka przeszła w 1856 r. w ręce ś. p. pana Mateusza Bowstead.

Zdaje mi się że majątek ziemski rodziny De Benhamów liczył kiedyś nie mniéj jak 60,000 morgów, to jest że posiadała blizko szóstą część hrabstwa Monmouth, nie rachując drobnych własności w sąsiednich hrabstwach. Część tego majątku należy do różnych prywatnych właścicieli, inne przeszły w posiadanie Korony.

Ta zaś jaka została nabytą w 1856 od pułkownika Smithson przez ś. p. pana Mateusza Bowstead, składa się tylko z 720 morgów, z których 400 należały niegdyś do parku i zostały uprawione dopiero od siedmnastu lub ośmnastu lat. Egzekutorowie testamentu tegoż Mateusza Bowstead żądają 50 funtów za morgę, to jest za wszystko 36,000 funtów. Porównawszy tę cenę ze średnią wartością ziemi w téj części kraju, nabyliśmy przekonania, że jest ona zbyt wygórowaną. Grunt jest po większéj części lekki, jałowy, górzysty, a wiemy z pewnością że niedawno, w sąsiedniéj dolinie, grunta w porównaniu bogate i żyzne były sprzedane po 33 funty za morgę. Wiedząc jednak że masz mylordzie szczególne powody w wyborze téj miejscowości, opiekunowie sierot pozostałych po ś. p. Mateuszu Bowstead, działając w ich interesie i za radą swoich prawników, zdają się gotowi żądać nadzwyczajnéj ceny i nie będą chcieli, lękamy się, nic z niéj opuścić. Możeby nie odmówili 35,000 funtów, gdybyśmy byli upoważnieni do ofiarowania im téj summy, ale i to jest wątpliwem.

Czekając na dalsze rozkazy, mamy za szczyt zostawać

uniżonymi sługami
Balfour, Black i S-ka.

Drugi list zamieszczamy także w całości.

Mylordzie!

Stosownie do twego żądania, udałem się do zamku Benhampton, i tam przepędziłem blizko dwa dni, ale kilka tygodni badania zaledwieby wystarczyły dla zrobienia dokładnego planu tego budynku, takim, jak był on przed stupięćdziesięciu lub dwustu laty.

Zadanie odnowienia jest zadaniem wymagającem dużo czasu i wiele cierpliwości. Musi z ziemi wydobyć szczątki tam zagrzebane, szukać pomiędzy dzikiemi roślinami, zdrapywać mech, korzystać z najmniejszego kawałka gzemsu lub rzeźby ukrytego pod bluszczem; w tych drobnostkach musi on znaleźć jedynego przewodnika do odtworzenia wszystkich ważnych szczegółów.

Jednak za pomocą tego powierzchownego badania, powziąłem dostateczne wiadomości, żeby odpowiedzieć na niektóre z twoich pytań, mylordzie, i przedstawić kilka praktycznych rad.

1-e. W odpowiedzi na zapytanie jakiby był prawdopodobny koszt odnowienia zamku Benhampton w całości, muszę oświadczyć, że budynek takich rozmiarów i takiego stylu nie mógłby być przywrócony do pierwotnego stanu za mniejszą summę jak za 130,000 lub 140,000 funtów.

2. Odnowienie całego zamku nie jest bynajmniéj koniecznem. Możnaby odnowić tylko te części, któreby były potrzebne dla utworzenia wygodnéj tegoczesnéj siedziby.

3. Ograniczenie wydatków potrzebnych, od ciebie mylordzie zależy. Gdy będę znał summę przeznaczoną na to dzieło, będę mógł wtedy przedstawić kosztorys tego, co będzie można uczyn ć za te pieniądze.

4. Jestem zdania, że na summę 25,000 funtów możnaby odnowić wielką wieżę i trzy strony pierwszego czworoboku wraz z salą jadalną, i że to odnowienie możnaby wykonać w bogatym stylu używanym za czasów Edwarda trzeciego.

5. Pozostawienie innych czworoboków, kuchni, zewnętrznych murów i t. d. w obecnym stanie, nie psułoby bynajmniéj ogólnéj harmonii, owszem przyczyniałoby się wielce do piękności i malowniczéj całości.

Mam zaszczyt pozostawać
uniżonym sługą
H. Morley Durrant.

De Benham odebrał te listy przy śniadaniu, odczytał je dwa razy, pierwszy raz bardzo prędko, drugi bardzo wolno. złożył je w milczeniu i schował do pugilaresu. Matka widząc jak był zachmurzony, patrzała na niego niespokojnie, ale nie śmiała nic powiedzieć. Niedługo odsunął filiżankę, i mówiąc że miał interes w City, wziął kapelusz i wyszedł.

Nie poszedł jednak do City; zwrócił się w przeciwną stronę i idąc ciągle przed siebie, zatrzymał się dopiero w Regent's Park. Tu znalazłszy pustą ławkę w kąciku trochę oddalonym od głównych ulic, usiadł, oparł łokcie na kolanach a głowę na rękach i ponuro dumał.

Luty zmierzał już ku końcowi; poranek był piękny; promienie słońca zaczęły już dogrzewać i powietrze chociaż chłodne, nie było już zimne; znać było nadchodzącą wiosnę na trawnikach i drzewach okrywających się pączkami, i nawet po obecności dzieci z niańkami. Ale De Benham tego wszystkiego nie uważał; zaledwie czuł ciepłe promienie słońca; zaledwie słyszał wesołe głosy dzieci bawiących się opodal od niego; myśli jego były smutne i posępne i te same barwy rzucały na wszystko co go otaczało.

Te listy boleśnie go dotknęły, szczególnie list prawników; w pierwszéj chwili był prawie oszołomiony. Wszystkie jego obrachowania były zawiedzione, wszystkie szyki popsute, wszystkie nadzieje gorzko zawiedzione. Oddawna ułożył sobie co będzie musiał wydać na to kupno; znał zwykłą cenę ziem w okolicach Benhampton; wiedział że grunt tam był szczególnie nędznym i niekorzystnym, że niektóre części były tak kamieniste i jałowe, że były po prostu nieużytkami. Jednem słowem powiedział sobie, że będzie mógł zakupić własność pana Bowstead po dwadzieścia pięć funtów za morgę; był gotów wydać piętnaście tysięcy funtów, ośmnaście tysięcy, nawet dwadzieścia, ale nie trzydzieści sześć.

Była to przeszło połowa tego co zarobił, a więcéj nawet niż w obecnym stanie swoich interesów mógł wziąść do ręki i nazwać swojem. Była to ogromna summa, a za tę ogromną summę, cóż miał dostać? Szczątki zamku, kopalnię kamieni, kilka nędznych chałup i siedmset dwadzieścia morgów najgorszéj ziemi.

Była to tylko drobna cząstka dawnych dóbr Benhampton, ale tę cząstkę musiał odkupić nawet pod tak ciężkiemi warunkami. Dawny ten zamek był mu zanadto drogim, przysięga jego była zanadto świętą, aby mu wolny wybór pozostawał. Sposobność ta drugi raz mogła się już nie przedstawić; musiał teraz z niéj korzystać.

Inne względy przyłączały się do tych. Niepodobieństwem było raz zacząwszy zatrzymywać się. Mógł się ułożyć z egzekutorami testamentu Mateusza Bowstead, mógł w części odnowić zamek, ale gdyby to tylko uczynił, nie mógłby być zadowolonym. Inne części dawnych włości zostałyby niezawodnie późniéj wystawionemi na sprzedaż; jakież byłyby jego uczucia, gdyby w podobnym razie nie miał środków odkupienia ich?

A jednak, jeżeli nie odzyska zdrowia i sił, jeżeli daléj nie będzie zbierał nowych skarbów, znajdzie się zupełnie pozbawionym tych środków, a nawet znajdzie się bez żadnych dochodów. Musiałby jak Mateusz Bowstead żyć z pracy rąk, z nędznych dochodów jednego biednego folwarku, żyć w ubóstwie, w ukryciu, a w jego położeniu żaden człowiek rozsądny nie mógłby na takie życie przystać.

Był inny jeszcze sposób. Mógł wyrzec się tego ulubionego marzenia, nie myśleć już o wydźwignięciu z upadku rodziny, wybudować sobie skromny domek wśród szczątków zamku, umieścić resztę kapitału, i spokojnie żyć na wsi.

Ale ze wszystkich dróg leżących otworem przed nim, była to właśnie ta, która mu się najmniéj podobała. Niczem by było posiadać to miejsce, jeżeliby dawnéj świetności nie mógł mu powrócić. Nie zniósłby widoku dalszego postępu dzieła spustoszenia, nieznośnem

by mu nawet było podtrzymywać, naprawiać, i tylko obecny stan utrzymywać.

Tak dumał i pasował się z sobą, trzy godziny myślał, a myśli jego ciągle się zmieniały; coraz nowe obawy i inne przeczucia niepokoiły go, coraz silniejszemi się stawały i odniosły zwycięztwo.

— Niema innego sposobu, powiedział nareszcie, odczytawszy swe listy czwarty czy piąty raz; niema innego sposobu. Takie moje przeznaczenie.

Kiedy Temple De Benham wyrzekł te słowa, a mniejsza o to czy głośno je wypowiedział, czy też tylko w tajemnicy serca wymówił, postanowił ożenić się z Klaudyą Hardwicke.

ROZDZIAŁ XVIII.

Podwójne oświadczenie.

Panna Hardwicke miała wiele sposobności wyjść za mąż; była piękną, bogatą, bywała w licznych towarzystwach. Jeżeli jaka kobieta mogła być znudzoną częstością oświadczeń jakie odbierała, to pewno nią była Klaudya Hardwicke, gdyż od siedmiu lat, to jest od powrotu z Paryża po ukończeniu pensyi, ciągle się jéj oświadczano.

Przez te siedm lat częste odbierała oświadczenia, lecz nikt jéj się nie podobał i wszystkie odrzucała. Niemiecki bankier, modny lekarz niedawno pasowany na rycerza, sławny adwokat, bogaty budowniczy okrętów, młodszy syn baroneta, szkocki członek parlamentu, dwóch czy trzech majętnych kupców, po kolei starali się o jéj rękę, doznając tylko niepowodzenia. Świat zaczynał przepowiadać, że panna Hardwicke zostanie starą panną i to z własnéj winy.

Ale ona miała swoją wolę, po swojemu kochała swego brata, a nadewszystko ceniła swobodę. Téj ostatniéj postanowiła nigdy się nie wyrzec, chyba... chyba w zamian za coś droższego jeszcze, może za miłość, a prawdopodobnie za wyższe stanowisko.

Pomimo swéj dumy i oziębłości, Klaudya Hardwicke marzyła czasem o miłości. Świat uważał ją za równie niedostępną jak jéj marmurowy portret, ale ona była innego zdania. Myślała owszem, że mogła bardzo głęboko kochać; lecz człowieka któregoby tak pokochała, musiałaby uznać za swojego pana. Mógł on nie być ani bogatym, ani pięknym, ani przyjemnym, ale powinien być wysokiego urodzenia i wielkiéj odwagi, śmiałym, ambitnym, jednem słowem prawdziwym mężczyzną. Gdyby taki człowiek prosił o jéj rękę, panna Hardwicke mówiła sobie, że mogłaby go kochać bardzo silną i wytrwałą miłością, ale powtarzała sobie także, że nigdy podobnego nie spotka ideału.

Zostawiając miłość na stronie, panna Hardwicke bardzo była dostępną urokowi wysokiego stanowiska. Tytuł byłby zawsze dla niéj wielką pokusą, ale ta nigdy jéj się nie przedstawiła, gdyż na świeżo dostojeństwa modnego lekarza spoglądała z najwyższą pogardą.

Tem dziwniejszem było, że nareszcie sposobność tak upragniona przedstawiła się pod podwójną postacią, to jest, że w jednym i tym samym dniu, Klaudya Hardwicke mogła wybierać pomiędzy dwoma koronami herbowemi.

De Benham, jak widzieliśmy, długo siedział i rozmyślał nim powziął postanowienie, ale raz go powziąwszy, wstał i poszedł zaraz je spełnić, bo było to jego naturą, od razu zrobić to co pomyślał. Powiedziawszy więc sobie, że dobrze zrobi żeniąc się z panną Hardwicke, chciał prędko to uczynić. Powrócił spiesznie do domu, ubrał się, patrząc trochę pogardliwie na swą troskliwość w wyborze rękawiczek i koło trzeciéj po południu poszedł do państwa Hardwicke.

Zastał Klaudyę samą, w amazonce i kapeluszu, gdyż właśnie powróciła z konnéj przejażdżki.

Po przywitaniu i zapytaniu wzajemnem o zdrowie, rozmowa zaczęła upadać.

— Czy widziałeś mego brata, mylordzie? zapytała panna Hardwicke po chwili.

De Benham odrzekł, że przeszło od tygodnia nie był w kantorze, i milczenie znów zapanowało.

Panna Hardwicke zdjęła rękawiczki, potem kapelusz, bawiła się szpicrutą, dziwiąc się dla czego wizyta trwa tak długo.

Nareszcie De Benham przemówił.

— Przepraszam cię, panno Hardwicke, powiedział, że jestem tak milczącym.

Ona się uśmiechnęła.

— Milczenie twoje, mylordzie, wcale mi się nudnem nie wydawało, odrzekła.

— Człowiek milczy dla tego, że nic nie ma do powiedzenia, lub dla tego że ma za wiele do powiedzenia. Znajduję się w tym ostatnim wypadku; wiele mam do powiedzenia a nie wiem jak zacząć.

Panna Hardwicke spojrzała na niego z lekkim odcieniem zdziwienia na twarzy, ale nic nie powiedziała. De Benham nachylony naprzód i patrząc w kapelusz jak gdyby czytał co w nim było napisane, ciągnął daléj głosem poważnym i stanowczym.

— Cel mojego przyjścia dzisiaj do pani, rzekł, może być w kilku słowach wyjaśniony. Przyszedłem pani powiedzieć dokładnie jakie jest moje położenie, jakie są moje nadzieje, i zapytać cię czybyś chciała zostać moją żoną.

Zatrzymał się, jak gdyby myślał co ma daléj powiedzieć. Panna Hardwicke siedziała niewzruszona, zatopiona pozornie w oglądaniu oprawy swéj szpicruty; może lekki rumieniec ożywił na chwilę jéj rysy, ale zniknął natychmiast.

— Czuję z przykrością, mówił daléj De Benham, zarozumiałość tego kroku. Wiem dobrze o jak wiele proszę a jak mało w zamian mogę ofiarować. Dwie rzeczy tylko: szlachetne imie i trochę ziemi nieżyznéj; nic więcéj i nic mniéj. Co do miłości, panno Hardwicke, nie mam prawa mówić o niéj po tak krótkiéj znajomości. Zresztą, chociaż młody jeszcze jestem, nieszczęście i praca uczyniły mnie o wiele starszym, i wątpię abym już teraz mógł kochać się. Ale... ale uwielbiam cię, i proszę byś przebaczyła mi że powtarzam to co tylu innych już ci powiedziało; byłbym dumny nazwać cię moją żoną, i zdaje mi się że byłbym dobrym mężem.

Tyle powiedziawszy, znów zamilkł.

— Jestto zaszczyt do którego nie byłam bynajmniéj przygotowaną, rzekła panna Hardwicke, czując że i jéj wypadało coś powiedzieć.

— Nie jestto zaszczyt, przynajmniéj w tem znaczeniu; jestto poświęcenie się dla idei.

— Poświęcenie się dla idei! powtórzyła panna Hardwicke. Nie rozumiem tego.

— Pragnę żebyś mnie pani dokładnie pojęła. Czy będziesz miała cierpliwość wysłuchać długiego opowiadania?

— Bez wątpienia.

— Więc muszę ci dać poznać całe dzieje mojéj rodziny.

I De Benham zaczął opowiadać, jak mógł w najkrótszych słowach, początek i historyę swego domu od Godfryda Krzyżowca, aż do siebie samego. Mówił, jak już przez długie wieki De Benhamowie zbierali bogactwa i zakupywali dobra; jak potem te bogactwa zostały zmarnowane a dobra rozprzedane; jak jego ojciec, odziedziczywszy tylko długi, był ostatecznie zrujnowanym w uniwersytecie przez towarzysza bez sumienia; jak on, Temple, wychowany w nieświadomości tych rzeczy, przepędził młodość w niedostatku, posłuszny naturalnym popędom geniuszu i marząc tylko o muzyce; jak, od czasu kiedy poznał prawdę, poświęcił się całą duszą jedynie wielkiemu celowi; jak pracując dla tego celu, narażał się na niebezpieczeństwa, i gotów był daléj narażać życie, zdrowie i szczęście.

— To życie, panno Hardwicke, powiedział, proszę cię, żebyś dzieliła ze mną. Wiele ludzi szczęśliwszy los ofiarowało by ci i obiecywało więcéj, nie zwracając uwagi na twoje bogactwa. Ja przeciwnie, zaczynam od tego że wyznaję, iż pieniądze są mi koniecznie potrzebne, że nie mogę się żenić bez pieniędzy, i pytam się ciebie szczerze, czy chcesz, aby moje dzieło było twojem dziełem, jednem słowem, czy chcesz poświęcić się temu zadaniu tak mało powabnemu, wydźwignienia z upadku wiekowego dawnéj rodziny, czy chcesz ocalić staro-dawne imie od zupełnéj zagłady, czy chcesz je przekazać innym, aby w przyszłéj historyi świata znów mogło mieć swój wpływ na złe lub dobre.

— Nie zdaje mi się, żeby ta praca była bez powabu, powiedziała wolno panna Hardwicke.

— Lękałem się, że dla mnie tylko może być ona powabną.

— Nie widzę dla czego.

— Dla tego naprzód, że powód do niéj jest czysto osobistym, a potem wątpię aby mogła ona pozyskać współczucie.

— Prawda, że nieszczęście łatwiéj pobudza nas do współczucia.

— Tak; więcéj go mamy dla cierpliwego Ulissesa, niż dla dumnego Achillesa; ale teraz nie o to idzie czy będę mógł obudzić współczucie świata, ale o to czy mogę mieć nadzieję zasłużyć na twoje.

Panna Hardwicke była widocznie zmięszaną.

— Mylordzie De Benham, powiedziała, niewiem doprawdy jaką odpowiedź mam dać; musisz mi zostawić dziesięć minut do namysłu.

— Dziesięć dni, jeżeli sobie pani tego życzysz.

— Nie; gdybym nad czem rozmyślała przez dziesięć dni, nie doszłabym do żadnego wniosku. Dziesięć minut wystarczy.

— Mogę przez ten czas zejść do biblioteki.

— Dobrze.

— I nie powrócę aż pani przyszlesz po mnie.

— Nie; sama zejdę do ogrodu, i kiedy przejdę pod oknami biblioteki, będziesz mógł mylordzie do mnie przyjść.

De Benham wstał, ukłonił się i poszedł ku drzwiom; zawahał się wtedy i zatrzymał. Zdawało mu się, że wypadało żeby coś powiedział więcéj, on, konkurent, którego los ważył się jeszcze; ale słowa podobne nie łatwo mu przychodziły.

— Mam nadzieję, powiedział, że będziesz się pani starała łaskawą być dla mnie.

Wyszedł z salonu; przechodząc przez sień widział przez szklanne drzwi, jak ktoś zsiadał z konia i ogrodnikowi go powierzał. De Benham spostrzegł lorda Stockbridge; nie życząc sobie być widzianym, zamknął się w bibliotece, wziął książkę z półek i usiadł przy kominku. Domyślał się, że te dziesięć minut potrwają teraz trzydzieści, ale mógł czekać z największą cierpliwością, i mógł czytać nawet z zajęciem.

(D. c. n.)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11.

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Ноября (10 Декабря) 1875 г.